

ROLA

Rok VI.
Kraków, dnia 20 paździer. 19.2 r.
Nr. 42.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz jednoszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6. Telefon nr. 2346.

Dobry przykład.

Dobry przykład cuda działa — powiada przysłowie. I rzeczywiście jest to prawdą niezbitą i tysiąckrotnie stwierdzoną. Ale to samo przysłowie można powiedzieć także w znaczeniu ujemnem, a zarazem potężniejszem, a mianowicie: Zły przykład cuda działa.

Wiadomo powszechnie, że umysł ludzki i cały człowiek jest skłonniejszy do złego aniżeli do dobrego, przeto, jeżeli dobry przykład może bardzo wiele zdziałać, to zły sprawi jeszcze stokroć więcej. Przeto tak rodzice dzieciom, jak gospodarz i gospodyni sługom powinni dawać tylko i jedynie dobry przykład a unikać złego, który łatwiej działa.

Tymczasem jakże się dzieje?

Młodzi rodzice myślą, iż w obecności małych dzieci nie potrzebują zwracać uwagi na to, co mówią albo co robią. A nie zważając na to, postępują, jak im wygodnie, trując często młode dusze złemi wrażeniami.

Czynią to po największej części bezmyślnie, mimowolnie, nie zastanowiwszy się przed tem, jaką ogromną szkodę wyrządzają własnem dzieciom.

Niejednemu n. p. przekleństwo wydaje się bagatelką. Przeklinają więc na każdym kroku, to sąsiada za uoranie skiby, to sąsiadkę za nieprzypilnowanie kur, to dzieci sąsiadów za wypaszenie łąki a jeszcze częściej sami siebie przeklinają o byle głupstwo.

Zapewne, że tak sąsiad, tak sąsiadka, jak i dzieci sąsiadów nic dobrego nie uczyniły, ale czyż przekleństwo naprawi szkodę? Nie naprawi a w serca własnych dzieci sączy jad nienawiści i przyzwyczaja do przekleństwa.

Bo dziecko, jak to echo, powtarza zasłyszane słowa a w duszy jego pozostaje niezatarte wrażenie, które kiedyś może mu nieszczęście przynieść.

Jeżeli ojciec pijak, to syn prawie zawsze stara się go naśladować. Gdy tylko dopadnie gdzie wódki lub innego szkodliwego napoju, poczyna go kosztować. Początkowo krzywi się, spluwa, ale nie ustaje i z czasem przychodzi do takiej doskonałości, jak jego godny ojczulek.

A popatrzmy na inny przykład.

Gdy rodzice żyją uczciwie, pobożnie i pracowicie, ani na myśl nie przyjdzie im wszczynać kłótni pomiędzy sobą, przeklinać nie mają o co, nie upijają się, to i dzieci tego czynić nie będą, a wobec tego nie nabiorą złych nałogów. Będą one żyły tak w przyszłości, jak żyją teraz ich rodzice.

Mógłby ktoś powiedzieć, że zdarza się, iż dzieci złych rodziców są dobremi dziećmi, a dobrych złemi.

Tak zdarza się, ale to są wyjątki, na które wywarło wpływ dalsze otoczenie.

Przykład życia rodziców jest dla dzieci najlepszą szkołą.

Gdzieś tam później kiedyś w życiu, Bóg wie, jacy ludzie zetkną się z dziećmi naszemi; Bóg wie, jakie przykłady przed ich oczy rzucać się będą — wszystko to jest niepewne, ale my starajmy się o to, ażeby wspomnienie przykładu życia rodzinnngo zostało na zawsze w duszy dzieci naszych zarysowane jako słońce jasne i jako zdrój czyste.

Niech dzieci pamiętają, iż w rodzinnym ich domu modlitwa była odmawiana z prawdziwą wiarą i pokorą. Niech wiedzą i pamiętają zawsze, iż wiary i mowy ojczystej rodzice ich się nie zaparli, iż ziemi drogiej nie sprzedaliby obcemu za żadne pieniądze, iż bliźniemu krzywdy nie uczyniono ani mową, ani czynem, iż nie zmarnowano życia na próżniactwie lub lenistwie.

Takie obrazy z życia rodzinnego zostaną dziecku na zawsze. Starajmy się więc, aby tych dobrych obrazów natworzyło się w duszach dzieci naszych jak najwięcej, zaś dla złych przykładów, aby nie było w nich miejsca.

Bolesław Zygmunt Gnoiński.

ROK 1813.

Z dziejów wojska polskiego.

X.

Tymczasem w pięć dni po wyjeździe Radziwiłła z Krakowa, Rada ministrów zebrała się na sesyę w pałacu pod Baranami. W tajemnicy przed Poniatowskim tak uchwaliła, aby wojsko polskie wyszło z Krakowa nie w stronę wielkiej armii Napoleona, lecz aby przeprawiło się za Wisłę i tu spróbowało wejść w zaczepną walkę z korpusem generała rosyjskiego Sackena, a dopiero, na wypadek przemagającej siły nieprzyjaciela, cofnęło się przez Kraków, dla połączenia z Napoleonem.

Książę był wtedy na rewii swych wojsk, które ustawicznie ćwiczył w sztuce wojennej, a gdy został powiadomiony o tem postanowieniu, wpadł w gwałtowny gniew, i jak wicher na swym dzielnym koniu ruszył na miejsce, gdzie odbywała się jeszcze narada.

Wszedłszy do sali, dysząc ze zmęczenia, z nadzwyczaj groźną miną i głosem, w którym czuć było podrażnienie, wyraził się temi słowy:

— Nie spodziewałem się w Radzie ministrów takiego wniosku, który tem bardziej jest niewłaściwy, że ma za sobą pociągające pozory, lecz po głębszem zastanowieniu się, nie może być przezemnie przyjęty ze względów wojskowych.

Tu książę po raz ostatni dowiódł, że nie może pozwolić, aby gubiono ojczyznę — i zakończył słowy:

— Wolę, żeby Rada podpisała wyrok śmierci na mnie, jak widoki pozorne, które na chwilę tylko dogodziłyby opinii popularnej, a potem przez niąż samą byłyby potępione.

Rada ministrów przyparta do muru wywodami Poniatowskiego, zmuszona była zaraz na sesyi odwołać swoją uchwałę, oraz postanowiła wycofać się za Wisłę do Podgórza, czyli uczynić w rzeczywistości krok zasadniczy, zgodny z życzeniem naczelnego wodza.

Nie wpłynęło jednak to wszystko dobrze na bliższe otoczenie Poniatowskiego, gdyż zaraz po tym fakcie wycofali się z obozu polskiego: Eustachy ks. Czartoryski, hr. Zamoyski i Mostowski, a za ich przykładem oddalą się później jeszcze, tacy jak: Chłopicki albo Chłapowski.

Smutnie książę spoglądał za opuszczającymi szeregi, temi wpływowemi osobami, i przez łzy prawie w oczach powtarzał tylko za każdym odchodzącym:

— Mam i sumienie!

W nocy z 5 na 6 maja książę zamknął się w pokoju z nieodstępnym Aksamitowskim, a chodząc szerokimi krokami, wymawiał urywane słowa, dotyczące planu, co dalej począć, czując się tak osamotnionym nawet od najbliższych przyjaciół. Wreszcie kazał Aksamitowskiemu podać sobie pistolety. Wyraz jego oczu świadczył, że jest mocno podrażniony i na prośbę majora, aby się uspokoił, odpowiedział:

— Rób, co rozkazuję!

Aksamitowski podał księciu pistolety, ale i sam wziął drugą parę w ręce, gotowy nie przeżyć swego wodza.

Losy ostatecznej zguby kraju ważyły się przez chwilę, po której książę, rzuciwszy na ziemię broń, krzyknął przez otwarte okno do oficera, dowodzącego wartą:

— Sygnały wsiadanego!

— Jakoż w niespełna godzinę — wszystko było gotowe do pochodu.

Około południa wódz polski, stanąwszy na czele zastępów, wskazał adjutantowi pałaszem na zachód i armia ruszyła.

Pochód wojska polskiego, zgodnie z uchwałą Wiednia, miał się z początku odbywać niewielkimi oddziałami i bez broni, lecz książę w ostatniej chwili uzyskał za pośrednictwem Frimonta znaczne złagodzenie tego postanowienia, to znaczy, że armia polska będzie odbywać pochód, rozdzielona tylko na cztery części i z bronią w ręku.

Poszło więc wojsko ku granicom: Saksonii na Krzeszowice, Wadowice, Cieszyn, Prerau, Austerlitz, Berno, Kolin do Zittau.

Tymczasem wielka armia Napoleona już starła się z idącą naprzeciw niej sprzymierzoną armią prusko-rosyjską, pod Lützen, dnia 1 maja 1813 r.

W kilka dni po tych wypadkach przyjechał generał Sokolnicki do obozu księcia Józefa, zwiastując o zwycięstwie, wysłany od cesarza Napoleona z oznajmieniem dodającem otuchy wojsku naszemu, będącemu w tak trudnem położeniu.

Oczywista rzecz, że o wszystkiem, co zaszło dotychczas w korpusie polskim, donosił cesarzowi minister jego Bignon, który ciągle znajdował się przy Poniatowskim, a stąd też wynikło, że zaraz po bitwie wielkich armij pod Lützen, Napoleon, żywiąc obawy co do zachowania się polskiej armii, wysłał Sokolnickiego, aby ten dobrą swą wymową, przytem jako Polak, podtrzymał na duchu Polaków.

Otóż, jak wyżej wyraziliśmy się, armia polska została podzielona na cztery części, z których niestrudzony książę każdą oddzielnie sam osobiście odprowadzał o kilka mil za Podgórze, to znaczy do ściśle oznaczonego przez Austryaków punktu.

Przy powrocie po drugą część swej armii, zastał właśnie w Podgórzu Sokolnickiego.

Jak w postanowieniu połączenia się wojsk polskich z armią Napoleona, żadne przeszkody nie zdołałyby zachwiać księcia Józefa, tak też i obecność Sokolnickiego w Podgórzu z dobrą nowiną, nie zachęciła go więcej. Bo wódz polski nie powodował się żadnem widzimisię, lecz brał rzeczy zdrowo i rozsądnie, a chociaż tak postępując w przyszłości nie zbawi Napoleona, wobec sprzymierzonej przeciw niemu Europy, to jednak zaznaczy tem, że Polacy potrafią dotrzymać słowa i nie noszą płaszcza na tem ramieniu, na którem, pomimo hańby, byłoby im lepiej. Takiem postępowaniem zasłużą sobie później na szacunek całego świata i nawet w mniemaniu Aleksandra I, który, po skończeniu tej wojny, będzie traktował Polaków jako naród z honorem.

Faktem jest, że jeden z niemieckich pisarzy tej epoki, a więc wrogo dla nas usposobiony, w swojem dziele wyraził się: »A jednak Polacy pokazali światu, jak należy dotrzymywać zawartego przymierza i sądzę, (pisze dalej), że przyznał im to i cesarz Aleksander I, jako doskonały psycholog — woląc widzieć podwładnych swoich pokonanych siłą oręża, niż błędne owce, które kierują się tylko zapomocą szczekania psów i bata owczarskiego.

Nie można ani na chwilę przypuścić, aby Polaków w honorowem ich postępowaniu względem Francyi, utrzymywał tylko Poniatowski. — Prawda, że wojsko wierzyło w niego jak w wyrocznię, ale też nie mniej szanowało zasłużonych generałów i ludzi wpływowych, o których mówiłem już wyżej, że opuścili szeregi polskie, nie podzielając zdania naczelnego wodza; stąd też można przypuszczać, że owi nie omieszkali także rozsiewać swych przekonań pomiędzy oficerów.

Nie pomogły jednak ani prośby, ani groźby: żołnierz polski poszedł tam, gdzie mu honor i sumienie wskazywało. By utwierdzić w tem przekonaniu czytelników, przytoczę choćby tylko takie zdarzenie:

Książę Józef, chcąc zbadać zapatrywanie pomiędzy oficerami swej armii, która właśnie zgodnie z porządkiem opowiadania, weszła teraz czwartą swą częścią do Krzeszowic, i tam na trzy dni rozłożyła się obozem, to znaczy do czasu, aż trzecia część dojdzie do Wadowic, polecił Aksamitowskiemu wyprawić im obiad, na który sam udawszy, że nie może przyjść, zamknął się w swej kwaterze. Aksamitowski miał rozkaz rozpuścić wiadomość, że niema co zdawać się na los księcia, gdyż ten czeka tylko sposobności wymknąć się i wyjechać do Petersburga.

Na czas oznaczony zeszli się zaproszeni: zastawiano stoły dobremi daniami, a także przysposobiono dosyć wina i miodów starych, a kiedy Aksamitowski, udawszy podchmielonego, wyraził się do zebranych w sposób sobie przepisany, wszyscy oficerowie jednogłośnie postanowili nie wracać do Księstwa, lecz zaczekawszy sprawdzenia strasznej nowiny, obrać naczelnym wodzem jednego z generałów, aby wojsko poprowadził dalej do złączenia go z armią Napoleona.

Byli i tacy wśród oficerów, którzy nie chcieli temu wierzyć i nawet za obelżywe słowa, radzili Aksamitowskiego aresztować. Dopiero kiedy ten roześmiał się w głos, a pułkownicy, będąc wpierw już powiadomieni o tym żarcie, powstali ze swych miejsc, oświadczając, że to tylko była próba, taki zapanował humor pomiędzy zebranymi, że wypito wtedy więcej wina i miodu, niż przez cały rok okrągły.

Toastom, winszowaniu, konceptom nie byłoby końca, gdyby nie sygnał, zwiastujący o dalszym marszu.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Daj mi, o Panie!...

Daj mi, o Panie, doczekać dnia tego,
W którym złocista zajaśnieje zorza
I wstanie Polska z grobu wiekowego
Wolna, potężna — od morza do morza!

Daj mi też, Panie, oglądać oczyma
Kres bratobójczych walk i dni niedoli —
Niech znikną swary, a lud niech w olbrzyma
Zmieni się cały, a Polskę wyzwoli...

O ludu, ludu! Ty potęgo szara!...
Może ty nie wiesz, jaka w tobie siła?
Lecz niech z was każdy dziś zbratać się stara,
Bo już godzina do czynów wybiła...

Już blade widma mrzonek i niedoli
Idą w toń czarną — idą bezpowrotnie...
...Rana się goi, co nas dotąd boli —
Cierpieć nie będziem już dalej sromotnie!

Daj mi o Panie! Stwórco — Wielki Boże,
Bym mógł tych wszystkich przytulić do łona,
Co po tułaczy chleb idą za morze —
I tam niejeden z nich samotnie kona,

Zdala od swoich i ojczystej roli,
Od łąk stubarwnych i szumiących borów;
O! jakżeż jego srodze serce boli,
Gdy kona w dali... hen... w ciszy wieczorów...

Robert Rydz.

† STANISŁAW BADENI.

Dn. 12 b. m. w nocy umarł w majątku swoim w Radziechowie, były marszałek krajowy hr. Stanisław Badeni. Wiadomość o przedwczesnym zgonie tego niepospolitego i zacnego obywatela wywołała szczery i serdeczny żal w całym kraju i poza jego granicami. Już w chwili, gdy zmarły dzisiaj marszałek, z powodu nadwątlonego zdrowia, ustępował ze stanowiska marszałka krajowego, które po dwakroć zajmował, — cała prasa polska znalazła sposobność do oceny politycznego działania tej niepospolitej osobistości, która w samorządzie kraju kierowniczą, w bardzo wielu wypadkach decydującą odegrała rolę. Z życiem ś. p. Stanisława Badeniego splotły się dzieje polityczne kraju ostatnich lat dziesiątków. Umysł niepospolity, ze sprawami kraju, który całą duszą ukochał, bardzo dokładnie obznajomiony, rozeznający się w nich z właściwą sobie bystrością, zdobył sobie ś. p. Stanisław Badeni zaufanie wszystkich stronnictw politycznych w kraju. Ceniono przedewszystkiem jego dobrą wolę i uczciwość, wierzono w bezinteresowność jego pobudek działania, i dlatego zwracano się do niego z prośbą o radę w krytycznych chwilach, słuchano jego zdania z szacunkiem, płynącym z głębokiego przekonania.

Z ś. p. Stanisławem Badenim schodzi do grobu przedstawiciel starej politycznej szkoły, liczący się jednak z nowymi prądami. Nie lekceważył też żadnego stronnictwa i dla przywódców każdego z nich był przystępny, życzliwy i przyjacielski. Ostatnie ostre starcia z Rusinami, wytworzone przez to położenie w Sejmie i kraju, wyczerpały, zdaje się, siły marszałka tak, że wreszcie ze stanowiska swojego ustąpił. Nikt jednak nie spodziewał się, że stan jego zdrowia tak bardzo jest nadwerężony, a śmierć jest tak bliską. Dla oddania ostatniej usługi zmarłemu i złożenia czci dla jego pamięci, pośpieszyli przedstawiciele wszystkich stronnictw i warstw społecznych z kraju i Polski do dworu w Radziechowie, gdzie ś. p. Stanisław Badeni zacnego, pracowitego, a dla kraju zasłużonego dokonał żywota. Wyrazy współczucia nadesłali cesarz, ministrowie, książęta Kościoła, namiestnik, Rady miejskie i szereg instytucyj.

W końcu przytaczamy parę dat z życia ś. p. Stan. hr. Badeniego. Urodził się 9 września 1850 r. w Surochowie w pow. jarosławskim w Galicyi. Po ukończeniu gimnazyum, uczęszczał na uniwersytet w Krakowie na wydział prawniczy i filozoficzny. Odznaczał się wielkiemi zdolnościami; uzyskał stopień doktora praw i filozofii. Do Sejmu wszedł w r. 1883. Pierwsza jego znaczniejsza mowa w Sejmie była o oświacie ludu; zrobiła ona duże wrażenie pomiędzy posłami. W r. 1895, gdy brat jego Kazimierz hr. Badeni zamianowany został prezydentem ministrów, a ówczesny marszałek ks. Eustachy Sanguszko namiestnikiem, Stanisław hr. Badeni powołany został 31 października 1895 na marszałka kraju. W r. 1901 ustąpił, gdy marszałkiem został Andrzej hr. Potocki, gdy zaś ten został namiestnikiem, Stan. hr. Badeni 26 czerwca 1903 powołany został na marszałka kraju, którą to godność sprawował do czerwca b. r. Ustąpił z powodu ciężkiej choroby, która też kres położyła zasłużonemu dla kraju życiu znakomitego obywatela.

BIEDA.

Dawnymi czasy w jednej wiosce żyło dwóch braci. Podzieliwszy się ojcowskim majątkiem, zaczęli gospodarzyć każdy na swoim. Ale o ile starszemu wiodło się, jak to mówią z płatka, o tyle młodszemu wszystko szło jak z kamienia.

Podczas gdy u starszego zboże jak gaj, stodoły pełne, bydło jak gałeczki, a i gotówka nie była rzadkością; tymczasem młodszemu rodziła niwa same burzany, bydło padało, dzieci umierały, a gdy mu do tego spłonęły budynki, nie było co dalej robić na ojcowskim zagonie.

Postanowił zatem zostawić nędzną lepiankę, jaką po ogniu sklecił, a samemu wywędrować w inne strony. Poszedł tedy do brata i prosił go, aby mu pożyczył nieco grosza na drogę; ale brat zwymyślał go od dziadów i włóczykijów, i ledwie mu dał dwa garnce pszenicy na chleb na drogę.

Tak z bólem serca opuścił wioskę szukać szczęścia. Już na granicy wioski przypomniał sobie, że zapomniał oddać bratu próżną baryłkę z wódki, której pożyczył na pierwsze chrzciny. Wrócił się czemprędzej, pomimo rozmowy żony, celem oddania baryłki. Idąc koło chaty, zobaczył światło w oknie. Bardzo się przeraził. Otworzywszy drzwi, zobaczył biedę, jak na kominku obuwała się w kyrpcie, aby iść za nim. Gdy go bieda zobaczyła, skoczyła mu na ramiona i objęła za szyję, wołając:

— O, mój kochany! już ja cię nie puszczę, bo ja się niemało nabolała za tobą.

Ale chłop prośbą, namową i obietnicą, że ją weźmie ze sobą, skłonił ja, aby wlazła do baryłki. Bieda skusiła się zapachem wódki i wlazła do środka. Wtedy chłop zabił szpunt beczułki i wziął na plecy wyniósł za wieś i zakopał na granicy pod dębem ku wielkiemu zgorszeniu swej żony.

Wędrując dalej kilka dni, wstąpił do służby bogatego pana wraz z żoną. Pan go polubił, gdyż służył mu uczciwie, a umierając, zapisał mu testamentem ładny kawał niwy i drzewa z lasu na budynki. Pan Bóg pobłogosławił jego pracy, wystawił budynki, za oszczędzone grosze ze służby kupił inwentarz i statki gospodarcze, a za lat kilka był zamożnym gospodarzem.

Napisał wtedy do brata, aby przyjechał obejrzeć jego kolonię a zarazem odebrać pszenicę, którą mu na odchodne pożyczył.

Brat, gdy list dostał po długim czasie, gdyż wtedy poczty takiej, jak dzisiaj są, nie było; wybrał się w drogę, rozmyślając, czy może brat nie zechce się upominać o swoją połowę gruntu, którą on po odejściu jego, myśląc, że on skapał w drodze, zabrał i złączył ze swoją połową. Ale młodszy brat, gdy go zobaczyl, uściskał serdecznie, ugościł starannie, a o części ani wspomniał, pokazał mu swoje pięć krówek i trzy koniki jak tatary rosłe, silne i ładne, pokazał mu gumna i całe obejście, a w końcu zawołał go do spichlerza i odmierzył mu dwa korce pszenicy jak lodu za owe dwa garnce pożyczone.

Starszy brat, który aż zieleniał z zazdrości, mówi na to:

— A, bracie kochany, to jest tylko procent, a dwa garnce masz mi jeszcze oddać.

Wtedy brat młodszy dał mu jeszcze korzec i owe dwa garnce, aby tylko brata zadowolić. Na odjezdnem mówi skąpiec:

— Aha! bracie, jeszcze baryłka moja, gdzieś ją podział, bo mi jej potrzeba.

Na to młodszy brat rzecze:

— Bracie drogi! nie ruszaj tej baryłki, masz tu pięćdziesiąt talarów, a jej nie bierz, ona jest zakopana na granicy pod dębem.

Po pożegnaniu skąpiec pojechał, ale pomimo przyrzeczenia baryłkę odkopał i czop odkręcił, a wtedy bieda jak wyskoczy i chwyci skąpca z całej mocy i woła:

— Widzisz ptasiu! żem cię się doczekała! Już mnie tak nie zwiedziesz, jak tamten.

Odtąd się bieda trzymała skąpca do samej śmierci i tak go dusiła, że zeszedł na dziady; i do dzisiaj się bieda tłucze po świecie, a gdzie zagości, tam nic dobrego. ***Franciszek Adamski.***

Dwie role.

Jak świat wielki, jak Polska długa i szeroka od morza do morza, tak od niepamiętnych czasów rolnictwo kwitło najbardziej w Polsce. Pradziadowie i dziadowie nasi w pocie czoła uprawiali tę niwę, tę rolę polską, przesiąkłą krwią i potem. O, jak nam droga musi być ta rola polska, ta żywicielka nasza, która nas miliony żywi i karmi.

Póki tylko duch w naszem ciele przebywa, to ta polska rola i ojczyzna droga nam jest i zawsze nam droga być powinna, i nigdy i pod grzechem ciężkim wypuszczać jej z rąk naszych nie wolno. Również nie wolno nam roli matki naszej Polski opuszczać, pędząc gdzieś w świat na »Saksy«, do Prus i Ameryki bez żadnych nawet słusznych powodów, i wysługiwać się wrogom naszym nieraz za marną zapłatę. A co jeszcze gorsze, że nieraz porzuciwszy swoją rolę, swoją chatę, sprzedajemy je Niemcom lub żydom, tym strasznym wrogom naszej polskości.

Często zdarza się tak, że zamiast zarobku schodzimy przez to na ostatnich nędzarzy, zatracamy wiarę w Boga, pozbywamy się tej tak prześlicznej mowy polskiej i stajemy się nieraz szyderstwem naszych wrogów.

Gdy sobie uprzytomnimy, ilu ta nasza rola, ta ziemia polska zrodziła i wydała mężów uczonych, ilu poetów, ilu wodzów polskich; ilu ta Polska ojczyzna wydała z łona Świętych, to zapewne z ręką na sercu przyznać musimy, że żaden inny kraj poszczycić się tem nie może, co nasza Polska. Oprócz tej roli drogiej ojczyzny naszej, oprócz tych pięknych gajów i lasów, które już po większej części żydzi wysłali do Prus, oprócz tylu pięknych rzek polskich, wijących się i przerzynających tę prześliczną ziemię polską, jest jeszcze druga »Rola«, to gazetka nasza, gazetka ukochana, która nas nakarmia słowem, przykładem i wiadomościami ze wszystkich dziedzin. I tej »Roli« pragnieniem jest uczynić nas pożytecznymi Bogu i ojczyźnie. Pismo nasze »Rola« poucza, jak żyć powinniśmy, nakłania do trzeźwości i miłości Boga i bliźniego, a jeżeli my pójdziemy za wskazówkami tej kochanej »Roli«, to wtenczas staniemy się bogatymi i materyalnie i moralnie.

Pismo »Rola« nie miesza się wcale do polityki, bo wie, że polityka ludzi nie zbogaci, ale przeciwnie uboży. I dlatego ręką spracowaną kreślę te wyrazy, aby z całej duszy życzyć ci »Rolo« nasza ukochana, jak najwięcej czytelników i zachęcić ich do trwałego trzymania się swej przewodniczki.

Jeżeli gromadnie w każdej gminie »Rolę« czytać będziemy, to wnet nastaną lepsze czasy, gdyż nauczymy się być uczciwymi, nauczymy się kochać braci naszych, żyć w zgodzie z sąsiadami, a wtenczas znikną procesy i kłótnie, a nastanie zupełna zgoda w całem społeczeństwie. Nauczymy się kochać i szanować tę matkę naszą drogą nam ojczyznę, i jak Chrystus Pan zmartwychpowstał, pokonawszy śmierć, tak my pokonamy wrogów naszych i Polskę naszą odbudujemy. ***Jędrzej Czarnik.***

WOJNA NA BAŁKANIE.



Od chwili wypowiedzenia wojny Turcyi przez Czarnogórę, rozpoczęły się już kroki wojenne na Bałkanie. Czarnogórcy uderzyli na garnizon turecki w Beranie i po zaciętej walce Turcy się poddali. Także pod miastem Tuzi przyszło do krwawej walki. Poddały się również inne fortyfikacye tureckie. Pierwsze wiadomości są jednakże bałamutne; Czarnogóra donosi urzędownie tylko o zwycięztwach, Turcya je przedstawia odmiennie. W każdym razie te mniejsze starcia, które pociągnęły już za sobą śmierć paruset ludzi z obu stron, stanowią krwawą przygrywkę do szeregu większych bitew. Dalsze państwa bałkańskie: Bułgarya, Serbia i Grecya wojny dotąd Turcyi nie wypowiedziały, bądź to, że nie skończyły w zupełności przygotowań, bądź też, że toczą się jeszcze poufne rokowania z mocarstwami i działają różne wpływy, o których się publicznie nie pisze i o których się zresztą nie wie. Państwa bałkańskie na pismo mocarstw europejskich wpierw odpowiedzą pismem zbiorowem, odmownem co do rozbrojenia i zaniechania kroków wojennych, potem przystąpią do ataku na Turcyę.

Jak donoszą gazety, usposobienie wojenne w państwach bałkańskich jest nader gorące, zapał ogromny. Ta wojna, którą chcą zgnębić odwiecznego wroga chrześcijaństwa jest tam wszędzie ogromnie popularną. Pod naciskiem mocarstw z powodu nieustannych powstań w Macedonii i Albanii, dotkniętych okrucieństwami Turków, obłudny i wykrętny rząd turecki wielokrotnie przyrzekał ulgi i reformy dla tamtejszych chrześcijan, lecz nigdy ich nie dotrzymywał. Rzecz prosta, że ostatecznym celem państw bałkańskich — choć się go zapierają — jest w razie wygrania wojny, rozszerzenie swych granic w ten sposób, że Bułgarya zajęłaby Rumelię wschodnią lub część Macedonii, Serbia Starą Serbię, Czarnogóra Albanię, a Grecya wyspę Kretę. Małe państwa chrześcijańskie pragną swych współbraci, jęczacych pod rządem tureckim, połączyć w własnych granicach. Na obok dołączonej mapie widzimy rozkład tych krajów.

Zdawałoby się, że chrześcijańskie państwa europejskie powinny temu dopomóc. Odpadły już od Turcyi narody dawniej podbite, czas więc byłby i na uwolnienie reszty. Niestety, najgroźniejszą stroną t. zw. »kwestyi bałkańskiej« jest sąsiedztwo Austryi z tymi krajami i jej interes żywotny, który ucierpiałby bardzo z przesunięciem granic. Niemniej interes ma Rosya w osłabieniu Turcyi, we wzmocnieniu swego wpływu w rozszerzonych państwach bałkańskich, a wreszcie w zabraniu dla siebie kawałka Turcyi z jej stolicą Konstantynopolem. Rosya też, jak pisaliśmy, dopomogła do zawarcia sojuszu państw bałkańskich, pożyczyła Bułgaryi pieniędzy na wojnę, wspiera zawsze Czarnogórę, króra też zapewne bez cichego porozumienia z Rosyą nie wypowiedziałaby sama pierwsza wojny Turcyi.

Niepokój, jaki zapanował w Europie, nie jest więc spowodowany samą wojną małych państwek z Turcyą, tylko jej następstwami, które bezpośrednio z niej się wyłaniają i to już od razu przy rozpoczęciu kroków wojennych. Tak dla Serbii jak dla Czarnogóry najdogodniejszem miejscem wojny jest Sandżak nowo-bazarski, wąski pas kraju tureckiego między Czarnogórą a Serbią. Austrya dobrowolnie przy zajęciu Bośni wycofała się ze Sandżaku, gdzie w myśl traktatu berlińskiego utrzymywała załogę i pozostawiła ten okrąg Turcyi. W posiadaniu Turcyi sandżak Nowi-Bazar jest dla Austryi zupełnie bezpiecznym, ale oddanie go pod władzę serbską przesunęłoby stosunki na Bałkanach; połączyłoby Serbię z Czarnogórą i dałoby jej pośredni dostęp do morza Adryatyckiego. Do tego też Austrya nie dopuści. Aby uniknąć doraźnego starcia, austryacka dyplomacya stoi na stanowisku, że zajęcie sandżaku podczas wojny nie wyprowadzi Austryi z równowagi, dopiero po zakończeniu wojny, Austrya nie dopuści, aby sandżak na stałe pozostał w ręku serbskiem. Z ostatnich wiadomości zanotować należy przekroczenie przez Turków granicy serbskiej, szereg zwycięskich walk Czarnogórców z Turkami, zajęcie przez pierwszych miasta Beliopolie w sandżaku, Tuzi w Albanii i zdobycie kilku fortów w sandżaku. Ważną jest też wiadomość, że grecki prezydent ministrów upoważnił posłów z wyspy Krety do zasiadania w parlamencie greckim w Atenach.

Trafiła kosa na kamień.

(Historya prawdziwa).

W pewnej wiosce, przed niedawnemi laty, bo w czasach przeszłego stulecia, kiedy pijaństwo między ludem najbardziej się rozkrzewiło, żył sobie poczciwy bardzo gospodarz, Wojciech. Był to chłop oświecony, bogobojny i mądry. Pracował wytrwale, znał się dobrze na gospodarstwie, do karczmy nie zaglądał nigdy, unikał jej i jej wyznawców jak ognia, pieniędzy niepotrzebnie nie marnował, więc dobrze mu się powodziło, i tym sposobem dorobił się ładnego majątku.

Prawdę mówi polskie przysłowie, że dobrego karczma nie zepsuje, a złego i kościół nie naprawi. Tak też było i z naszym Wojciechem, bo cała wieś chodziła do karczmy i piła u Mosia, i prawie każdemu bodaj dwa razy do roku przytrafiło się, że znalazł się w rowie bez równowagi, — jeden tylko Wojciech do niej nie zaglądał i w rowie nie leżał nigdy.

Inni zamiast go naśladować śmiali się z niego, nazywali go dusigroszem, zakonnikiem i Bóg wie jak, ale Wojciech, pomimo tych przezwisk, nie starał się ich naśladować, i wolne od pracy chwile, zamiast przesiadywać w karczmie, tracić zdrowie i pieniądze, przepędzał w rodzinnem gronie nad książką i gazetą.

Pewnego wieczora towarzystwo, z wójtem na czele, uradziło w wesołej pogawędce przy kieliszku, aby też i Wojciecha jakim sposobem do siebie przyciągnąć, bo mieli chrapkę na jego grosz, który chcieli od niego wyssać na wódkę, jeżeli się da im do karczmy namówić.

— Oho! ten świętoszek, ten gazetnik, nie da się tak łatwo namówić do zabawy z nami — głosi najbliższy sąsiad, Wojciecha, Ignac. Nieraz go wołałem, aby szedł ze mną na pogawędkę, ale on burknął coś pod nosem, że nie chce zdrowia swego i grosza marnować. Widzicie, jak to bogacz boi się, aby nie zafundował jednej kolejki.

— Ciekawy ja — odzywa się znów inny — coby on też mówił, jakby tam do niego poszedł sam arendarz i zaprosił go do karczmy?

— Co tam tak radzicie, panowie? — odzywa się na to żyd, wchodząc do alkierza. Może wódeczki jeszcze?

— No to przynieście — powiada wójt — to ci powimy, o czem radzimy. Może i tybyś sam co zyskał na tem.

W mig zjawiły się nowe nalewki dla towarzyszy i żyd był już gotów słyszeć, o czem gospodarze radzili.

— Mówimy sobie o tym sknerze, Wojciechu, co nigdy do nas nie zajrzy i nie zbrata się z nami. Radzimy, jakby go tu zaprosić. Może byś ty sam, Mośku, co na to poradził.

— Mnie się zdaje — powiada żyd — że ten Wojciech nie przychodzi do nas, bo nie wie, jaki smak ma okowita. Jakby ja poszli do nich z flaszeczką i dali im zakosztować, to zarazby przyszli.

Wszyscy orzekli, że tak dobrze będzie i że Wojciech z pewnością przyjdzie, jeżeli jutro żyd do niego pójdzie, i namówi go.

Na drugi dzień wieczorem do chaty Wojciecha wchodzi arendarz i kłania się mu grzecznie. Zdziwił się bardzo tą wizytą Wojciech, pyta go więc, w jakiej przybył sprawie.

— No, panie Wojciechu, wy się bardzo zadziwili, że ja przyszli do was! No, panie Wojciechu, wy tak rozumny, aleście i mocno dumny. Czemu nigdy nie przyjdziecie do mnie na pogawędkę? Gardzicie karczmą moją, a w niej tak wesoło, bo cała wieś się schodzi do mnie i nieraz bardzo ciekawą rzecz możecie usłyszeć, i coś się dowiedzieć ciekawego.

Czego wy taki dumny, Wojciechu? Proszę was bardzo, przyjdźcie do mnie dziś wieczór, Wojciechu, przekonacie się, że prawdę wam mówię — dodał żyd po chwili.

— Wiesz co, Mośku — odzywa się chłop, mnie milsze jest zdrowie, więc nie idę do karczmy, ale i nasza wiara nam tego zabrania, a pijaństwo jest grzechem.

— E, co Wojciech gada — mówi żyd niby tem oburzony — człek ma wolną wolę i może robić, co chce! Choć wam tam księża w kościele nakazują nie pić wódki i chodzić do karczmy, ale dziś jest świat postępowy i każdy sam sobie jest panem. Żeby wy, Wojciechu, wiedzieli, jaki u mnie trunek dobry i gdy go człowiek po pracy wypije, jak mu się lekko na zdrowiu zrobi i jak się silniejszym czuje. Aj waj!

Mówiąc to, flaszkę wyjmuje z kieszeni i pokazując ją pod same oczy Wojciechowi, powiada:

— Czy nie jest na zdrowie pomocny ten trunek, co się jak zorza rumieni?

Zaraz w kieliszek nalał i podaje go Wojciechowi.

— Skosztujcie — powiada — jaki to dobry trunek! Wypijcie sobie na zdrowie i sami to przyznacie, że dobry gatunek.

Wojciech, potrząsnąwszy głową, tak do żyda powiada:

— Wy, Mośku, naprzód ten kieliszek wypijcie, a ja tę resztę z flaszki sam dopełnię i kpem mię zwijcie, jeżeli to nie będzie prawda.

Żyd aż uśmiechnął się z radości, a w duchu już miał nadzieję, że Wojciecha do pijaństwa nakłoni.

— Więc ja piję, Wojciechu, na zdrowie wasze. Niech Wojciech kochany nam żyje!

Wojciech równocześnie przynosi ze szafy kawał słoniny i podając ją żydowi, mówi;

— Zakąście po wódce, Mośku! Przecież sami powiadacie, że nowe dziś czasy i każdy sobie pan.

Żyd odskoczył od Wojciecha w kąt, a ten już słoninę pod sam nos mu podsunął.

— No, Wojciechu — jąka żyd — nasze prawo zabrania nam jedzenia słoniny i my to zachowujemy, bo Mojżesz tak nam nakazał.

— Tak, żydzie parszywy, to ty swojego prawa nie chcesz pogwałcić, a chcesz, żeby chrześcijanin swojego nie zachowywał? Sameś przecież mówił, że teraz nowe czasy i każdy sobie panem, to ja myślałem, że i ty w to wierzysz. A jeżeli ty nie chcesz zakąsić słoniny, to i ja nie piję twej śmierdziuchy.

— A teraz precz z mego domu, obrzydły żydzie — mówił oburzony Wojciech dalej — abym cię tu z tą propozycyą więcej nie widział.

Żyd, widząc to i słysząc, wyleciał jak oparzony i nawet nikomu o tem nie mówił, co go spotkało u Wojciecha.

Oto jak sobie Wojciech postąpił, ale czy inni idą w jego ślady? Wszak w niektórych wsiach i miastach, gdzie są żydzi, katolicy gwałcą swą wiarę świętą, usługując żydom w szabas i wyręczając żydówki w dojeniu krów, praniu bielizny lub sprzedawaniu w żydowskie święta w ich handlach i szynkach. A czemu to żyd w niedziele katolikowi krowy nie doi lub nie pasie, ani drzewa nie rżnie mu nigdy? Bo u żydów jest takie zapatrywanie, że to ubliża ich honorowi.

K. Polak.

ROZBITKI Z BALONU.

ROZDZIAŁ XXIV.

Prace. — Telegram. — Drut po ziemi. — Pieczara. — Olśniewające światło. — Statek.

Piętnastego października rozmowa przedłużyła się do dziesiątej wieczorem, aż wreszcie Penkroff, znużony ciężką całodzienną pracą, przypomniał, że czas udać się na spoczynek. Wstał już, aby odejść do swego pokoju, gdy nagle odezwał się dzwonek przy telegrafie.

Kto mógł dawać sygnał? Nie było nikogo w owczarni. Cyrus Smith zerwał się z krzesła; inni spoglądali na siebie, niepewni, czy im się nie przywidziało.

— Co to ma znaczyć? — zawołał Nab. — Może to dyabeł zadzwonił?

Nikt mu nie odpowiedział.

— Mamy dziś burzę — odezwał się Harbert. — Może wpływ elektryczności...

Nie dokończył zdania, gdyż inżynier, na którego wszyscy zwrócili swoje oczy, wstrząsnął przecząco głową.

— Czekajmy — rzekł Gedeon Spilett. — Jeżeli kto daje sygnał, to ponowi go z pewnością.

— Ale któż mógłby dawać sygnał? — zapytał Nab.

— Kto? — odpowiedział marynarz — ten, który...

Powtórny odgłos dzwonka przerwał odpowiedź Penkroffa.

Cyrus Smith zbliżył się do przyrządu telegraficznego i przesłał do owczarni następujące pytanie:

»Czego żądasz?«

W kilka minut później poruszyła się wskazówka na tarczy z alfabetem i Cyrus wyczytał odpowiedź:

»Przybywajcie jak najspieszniej do owczarni«.

— Nareszcie! — zawołał Cyrus.

Tak, nakoniec tajemnica miała być odkryta! Zapomnieli o znużeniu i potrzebie spoczynku i w jednej chwili wyszli z Granitowego pałacu, pozostawiając w nim tylko Topa i Jowa.

Noc była ciemna. Wszakże najgłębsza nawet ciemność nie mogła powstrzymać kolonistów, znających dobrze drogę do owczarni. Żywem przejęci wzruszeniem, szli spiesznie. Nie powątpiewali ani na chwilę, że niepojęta zagadka zostanie nakoniec rozwiązaną, że poznają tę tajemniczą istotę, wywierającą na ich życie wpływ tak dobroczynny i posiadającą tak potężne i niezwykłe środki działania, która zresztą, choć dla nich niewidzialna, musiała często przebywać obok nich, znać ich potrzeby i zamiary, słyszeć ich rozmowy, skoro mogła w porę przybywać im z pomocą.

Zajęci temi myślami mimowoli przyśpieszali kroku. Pod sklepieniem drzew tak było ciemno, że o parę stóp przed sobą nie mogli nic dojrzeć; w lesie głęboka panowała cisza; zwierzęta i ptaki, przeczuwające nadchodzącą burzę, kryły się w gęstwinie milczące i nieruchome; najlżejszy powiew wiatru nie poruszał listkami, tylko odgłos ich kroków przerywał ciszę. Przez całą drogę raz tylko Penkroff przerwał ogólne milczenie.

— Szkoda — rzekł — że nie wzięliśmy z sobą latarni.

— Znajdziemy ją w domku Ayrtona — odpowiedział inżynier.

Burza mogła wybuchnąć lada chwila. Coraz jaskrawsze, coraz częstsze błyskawice oślepiały ich prawie; huk grzmotów rozlegał się coraz bliżej; powietrze było ciężkie, duszne. Jednak szli dalej i dalej, jakby popychani nieprzepartą siłą, aż nakoniec przy świetle błyskawicy dojrzeli owczarnię.



...w środku jeziora jakiś przedmiot znacznych rozmiarów.

Stanęli przed domkiem Ayrtona. Zdawało się, że powinniby zastać tam nieznajomego, skoro stąd właśnie przysłał do nich telegram, a jednak nie było widać światła.

Inżynier zapukał do drzwi. Nikt się nie odzywał. Otworzył drzwi, weszli. Nab skrzesał ognia i zapalił latarnię. Nie znaleźli nikogo...

— Czy ulegliśmy jakiemuś złudzeniu? — pomyślał każdy z nich. — Ależ nie, to być nie może, inzynier przeczytał wyraźnie: »Przybywajcie śpiesznie do owczarni!«

Zbliżono się do przyrządu telegraficznego; wszystko było w porządku.

— Kto tu był na ostatku? — zapytał inżynier.

— Ja, panie Smith — odpowiedział Ayrton.

— Jak dawno?

— Cztery dni temu.

— A! jakaś karteczka! — zawołał Harbert wskazując papier, leżący na stoliku.

Na tej kartce papieru napisane były po angielsku następujące wyrazy:

»Nowo założony drut będzie wam służył za przewodnika«.

— W drogę! — zawołał Cyrus, który domyślił się, że depesza nie wyszła z owczarni, lecz z tajemniczego schronienia, połączonego wprost z Granitowym pałacem za pomocą świeżo dodanego drutu.

Nab wziął latarnię i wszyscy wyszli z owczarni. Burza srożyła się z gwałtownością; błyskawice, pioruny i grzmoty coraz częściej następowały po sobie; przy świetle błyskawic można było widzieć kłęby dymu, wybuchające z czeluści wulkanu. — Na dziedzińcu przed domem nie było dodatkowego drutu, lecz gdy inżynier zbliżył się do pierwszego słupa za bramą, spostrzegł przy świetle błyskawicy nowy drut, spuszczający się do ziemi.

— Oto jest! — zawołał.

Drut ciągnął się po ziemi. Inżynier sądził, że drut zaprowadzi ich w głąb doliny i że tam znajdą schronienie nieznajomego. Omylił się. Musieli zwrócić na południo-zachód i przedrzeć się między góra-

mi na jałową płaszczyznę. Koloniści nie powątpiewali już teraz, że drut doprowadzi ich do brzegu morza, i że tam w jakiejś jaskini ukrywa się ten, którego tak długo napróżno szukali.

Całe sklepienie niebios było w ogniu, błyskawice nie ustawały ani na chwilę, pioruny uderzyły kilka razy w szczyt wulkanu i wpadły do jego czeluści: niekiedy można było sądzić, że z krateru buchają płomienie.

Kiedy stanęli na znacznie wzniesionem z tej strony wybrzeżu wyspy, zerwał się silny wicher i do huku grzmotów przyłączył się huk rozbijających się o skały bałwanów. Nareszcie drut zakręcił się nagle i poprowadził ich wzdłuż bazaltowej ściany, ciągnacej się równolegle do morza. Uszedłszy zaledwie sto kroków po łagodnej pochyłości, stanęli nad brzegiem oceanu. Inżynier posunął ręką po drucie i przekonał się, że był zagłębiony w morzu.

Z ust zdumionych kolonistów wydobył się okrzyk prawie rozpaczliwy. Czyż im wypadnie rzucić się w morze i szukać w niem podmorskiej jaskini? Doszli do tego stopnia rozdrażnienia, że gotowi byli to nawet uczynić.

— Zaczekajmy — rzekł Cyrus Smith. — Teraz jest przypływ morza; znajdziemy drogę przy odpływie.

— Z czegóż to pan wnosisz? — zapytał Penkroff.

— Nie przywołałby nas tutaj, gdybyśmy nie mogli dostać się do niego!

Cyrus powiedział to z tak głębokiem przekonaniem, że ufność swą przelał w innych. Koloniści schronili się w zagłębieniu, wykutem w skale ręką przyrody. Deszcz zaczął już padać, a wkrótce potem zamienił się w gwałtowną ulewę.

O północy Cyrus udał się z latarnią na brzeg morza; odpływ trwał już dwie godziny. Nie omylił się; sklepienie obszernej jaskini zaczęło już ukazywać się nad wodą, a drut, widoczny teraz, niknął w głębi otworu. Wrócił do swych towarzyszy i rzekł spokojnie:

— Jaskinia będzie zalana wodą do pewnej wysokości.

— Albo woda ustąpi zupełnie z jaskini — rzekł Cyrus — i będziemy mogli wejść do niej, albo ten, który nas wzywa, obmyślił sposób, abyśmy się do niego dostali.

W godzinę potem już byli nad brzegiem morza, które w przeciągu trzech godzin obniżyło się o piętnaście stóp. Sklepienie nad wejściem do jaskini unosiło się nad wodą przynajmniej na ośm stóp. Inżynier, pochyliwszy się naprzód, dostrzegł jakiś czarny przedmiot, kołyszący się na falach. Przyciągnął do siebie; była to łódka, przywiązana do liny, wychodzącej z wnętrza jaskini. Dwa wiosła leżały w niej pod ławkami.

— Siadajmy — rzekł Cyrus.

W kilka minut później byli już w łodzi. Nab i Ayrton wzięli wiosła; Penkroff stanął przy sterze, Cyrus zajął miejsce na przodzie z latarnią w ręku. Sklepienie dość niskie z początku — wznosiło się dalej raptownie, lecz światło latarni bylo za słabe i nie pozwoliło rozpoznać rozległości i wysokości jaskini, w której wnętrzu jakaś uroczysta panowała cisza; nawet huk grzmotów nie zdołał zakłócić spokoju.

Znajdują się we wszystkich częściach ziemi ogromne jaskinie, jedne z nich są zalane falami morskiemi, inne zawierają w sobie jeziora, jak między innemi grota Fingala na wyspie Staffa, grota Morgat w zatoce Douarnenez w Bretanii; groty Bonifacio na Korsyce; Lyse Fiord w Norwegii; ogromna jaskina Mamuta w Kentucky.

Płynęli już pół godziny wewnątrz jaskini, w kierunku, wskazywanym Penkroffowi przez inżyniera, gdy nagle łódź stanęła. Koloniści olśnieni zostali blaskiem światła, oświetlającego ogromną pieczarę, której istnienia nie domyślali się nawet. O sto najmniej stóp nad ich stopami zaokrąglało się sklepienie, poprzecinane fantastycznie rozrzuconemi wypukłościami i wsparte na kolumnach bazaltowych. Kolumny te proste, jednolite, stały szeregami w równych prawie odstępach i odbijały się w wodzie zupełnie tu spokojnej, pomimo wichru i burzy, srożącej się poza obrębem jaskini. Promienie światła wdzierały się w każde choćby najmniesze zagłębienie i ściany wysadzone były drogimi kamieniami; wszystko to odbijało się w wodzie, i łódka zdawała się kołysać między dwiema ognistemi smugami. Odrazu można było odgadnąć, z jakiego to ogniska rozchodzą się te jasne promienie, oświetlające jaskinię; tylko światło elektryczne mogło być tak żywe i białe.

Na znak, dany przez Cyrusa, wiosła uderzyły w wodę, a rozpryskujące się jej kropelki błyszczały jak dyamenty. Łódka zaczęła się zbliżać do ogniska i wkrótce już tylko kilkadziesiąt sążni oddzielało ją od niego.

W tem miejscu woda zalewała przestrzeń, mającą koło trzystu pięćdziesięciu stóp szerokości i tworzyła małe jezioro; dalej rozciągała się ściana bazaltowa, zamykająca z tej strony pieczarę, rozszerzoną tu znacznie. Sklepienie, ściany, kolumny silnie oblane były światłem elektrycznem; zdawało się, jakby to światło od nich się rozchodziło. Koloniści dostrzegli unoszący się w środku jeziora jakiś przedmiot znacznych rozmiarów, z którego boków wychodziły promienie tak żywe. Przedmiot ten, przypominający kształtem ogromnego wieloryba, był długi na jakie dwieście pięćdziesiąt stóp, a wznosił się nad poziom jeziora, na dziesięć lub dwanaście.

Łódź zbliżyła się do niego. Cyrus wstał z ławki i czas jakiś spoglądał na niego z widocznym niepokojem, potem zawołał, schwyciwszy rękę reportera;

— Ależ to on! on z pewnością!...

Po tych słowach usiadł, wymawiając jakieś nazwisko, tak cicho, że je tylko Gedeon mógł usłyszeć. Widać, że reporter znał je dawniej, gdyż uczyniło na nim bardzo silne wrażenie i odpowiedział:

— Czy to być może! On! Człowiek wyjęty z pod opieki prawa!

— Tak, to on! — odpowiedział Cyrus.

Na rozkaz inżyniera czółno przybiło do lewego boku tego dziwnego statku. Koloniści weszli na platformę i przez otwartą klapę spuścili się do wnętrza drabinie. Znaleźli się najprzód w długim korytarzu oświetlonym, w końcu jego znajdowały się drzwi, które Cyrus otworzył.

Przeszli szybko przez wspaniale urządzoną salę, przytykającą do biblioteki. Inżynier otworzył drzwi, znajdujące się w głębi biblioteki, i zdumionym oczom kolonistów przedstawił się obszerny salon.

W jednym rogu salonu, na niskiej sofce, pokrytej bogatym kobiercem, leżał człowiek, który, jak się zdawało, nie dostrzegł ich jeszcze.

Cyrus postąpił parę kroków, potem głośno i dobitnie wyrzekł następujące słowa:

— Kapitanie Nemo, wezwałeś nas, jesteśmy!...

(Dalszy ciąg nastąpi).



MACIEK BZDURA GADA:

Idę se kiedysik z trafiki, com chodził gospodarzowi po tabackę i spotkałem sie z Jaśkiem Kubowem, wielgiem mojem kolegantem, bo my oba putora dnia jęcmień u mojego gospodarza mócili. Jak my sie porękowali i powiedzieli se »sergust«. Tak mi Jasiek godo:

— Nie wycytający byłem w kościele — padom mu.

— Słysołeś wiela beło zapowiedzi?

— Z conek rachować na koronce, alem se pomylił i nie wiem dobrze cy dziewięć, cy tes dziesięć.

— Pietnoście jaze, Maćku!

— Lo Boga świętego! — wołom do Jaśka, — to jegomoś musieli cheba w stodole na bojsku pocierze odprawiać, bo by sie w kancalaryi, nie śmieściło tela paciorników!

— Brakowało ino twojej zapowiedzi, Maćku to byłoby do pory ino szesnoście! Jusbyś sie móg, Maćku, zenić tej jesieni, bo strasą, że wielgo zima będzie.

— A cóz to — godom Jaśkowi — zeniatyk sie zima nie imo?

— No, widzis, Maćku, jak mas babę, to ci przy nij, choćby najwiekso zima była, ciepło jak przy piecu jakiem!

— No, juści — godom Jaśkowi — możeby i cowiek w ręce przy babie nie chuchoł, jakby była wielga zima, ale przecie trzeba rano stać, do roboty, na babę i na siebie robić i zmarznąć.

— E! gupiś Maciek! — godo mi Jasiek — przecie co lepi na swoją babę i na siebie robić, jak na grubarza i na grubarzową.

— No to mi grubarz za to płaci i wiktuje a na babę i som na siebie, to trzeba za darmo robić!

— Baba ci zapłaci, tes Maćku — godo Jasiek — będzie ci lubić, pocałuje cie, dziecek ci uchowa parę.

— Kiebym to trafił na taką babę, co umi kochać, lubieć, pocałować i dziecka chować, ale jak bem trafił na taką, jak mój dawny gospodorz, co mu baba mielokiem i gembom wypłacała, abo na taką jak moja teraźniejso gospodeni, grubałka, co gospodorza nimo za wiecheć z buta, a gruborz znów, jak sie opije klnie na nią. ze dwa dziecka, co mają to do organisty podobne. Co prowda, to nimają sie gospodorz o co gniwać, ze sie dziecka na organistę podały, po chłop śniego zdatny, a jak urosną te chopoki, bedą miały ochotę do organów, (a podoba bo, najwolą sie organkami bawić), to mogą się jeszce na organistów wyświęcić.

Ośmioł sie Jasiek i pado:

— Ej, Maciek, Maciek, ty tak niby gupka strugos, ze nic nie wies, aleś ty jucho morowy a dokucny straśnie!

— No, widzis — godom Jaśkowi — mnie do ozeniacki naganios, a sam sie nie zenis, zeń sie ty przódy, to ci zadruzbuje, a jak mi obierzes sykowną druchne, to sie i jo mogę ozenić.

Z TYGODNIA.

Z delegacyi austryackiej. W komisyi wojskowej delegacyi austryackiej minister wojny Auffenberg oświadczywszy, że materyalne wyposażenie armii niejedno pozostawia do życzenia, — wskazał na niekorzystne stosunki zagranicą, oraz zaznaczył, że tylko te państwa, które mają silne armie, mogą utrzymywać korzystne stosunki handlowe. Omawiając sprawy artyleryi i fortyfikacyj oświadczył, że dla koniecznych żądań wymagany jest kredyt 250 milionów koron. Aby pogodzić to z wytrzymałością finansową, rozkłada się tę sumę na sześć lat. Na pierwsze trzy lata na nieodzowne potrzeby żądane są 125 milionów w trzech ratach rocznych; na rok bieżący potrzeba 41 milionów koron. Nie ulega kwestyi, mówił minister, że mogą nadejść chwile, które nas zmuszą do wspólnej obrony. Byłoby potępienia godnem wyczekiwać dopiero na te chwile potrzeby i wtedy dopiero czynić właściwe starania. Komendant marynarki, hr. Montecuccoli, podniósł konieczność uchwalenia kredytów na marynarkę, każde państwo bowiem, posiadające większe stosunki handlowe, musi mieć siłę na morzu. Nie ulega wątpliwości, że kredyty na armię i marynarkę delegacye uchwalą.

Wywłaszczenie w Poznańskiem. Prawo o wywłaszczeniu, uchwalone przed kilku laty przez Sejm pruski, nie było dotąd wykonywane. Prawo to będące w istocie rzeczy bezprawiem, wchodzi jednak teraz w zastosowanie. Rząd pruski pogwałcił w niem zasadnicze prawo własności, zagwarantowane przez konstytucyę. Cała Europa cywilizowana potępiła ten niegodziwy zamach. Niemniej rząd pruski nie zawahał się teraz wprowadzić w życie tej barbarzyńskiej ustawy. Chodzi na razie o cztery majątki, znajdujące się w rękach polskich. Są to: Złotniki pod Pobiedziskami, które świeżo zmieniły swego właściciela, dalej Kołdrąb w powiecie żnińskim, Lipienki w powiecie świeckim i Dobska w powiecie strzelińskim. Cztery te majątki obejmują razem 1700 hektarów przestrzeni. Właściciele tych majątków otrzymali urzędowe zawiadomienie, że państwo w celach kolonizacyjnych postanowiło wywłaszczyć te posiadłości. Zawiedzie się jednak w swych rachubach rząd pruski, jeśli liczy na to, że zastosowanie wywłaszczenia rzuci popłoch w polskie szeregi, wywoła w nich rozdwojenie, osłabi siłę oporu i tem samem wzmocni niemczyznę. Raczej środek walki, którego się chwyciły koła rządzące pruskie, działać będzie jak obręcz żelazna, spajająca społeczeństwo polskie pod zaborem pruskim, skupiająca je w solidarnej i zwartej akcyi obronnej przeciw gwałtom pruskim.

O pokój włosko-turecki. Obecnie, gdy Turcya jest osaczona państwami bałkańskiemi i bądź co bądź ciężka czeka ją przeprawa, rokowania o pokój w Szwajcaryi utknęły. Włochy drożą się coraz bardziej. Gazety donoszą, że ostatnia trudność w rokowaniach włosko-tureckich polega na tem, że Turcy domagają się, aby Włosi natychmiast opuścili obsadzone wyspy na morzu Egejskiem, zaś cofnięcie wojska tureckiego z Trypolisu czynią zawisłem od uchwały Izby deputowanych. Włochy temu żądaniu odmawiają.

Okrucieństwa tureckie. Rząd serbski wypracował wykaz zbrodni, jakich dokonali Turcy na Serbach w ciągu ostatnich lat sześciu. Jest tam wymienionych 436 morderstw, 582 dokonanych łupiestw, 229 wypadków zniszczenia dobytku, 31 wznieconych pożarów, 33 wypadki pohańbienia kobiet, 10 przypadków znieważenia kościołów,

KRONIKA.

O „Podarku Szczęścia“ podajemy na ostatniej stronie dzisiejszego numeru. Przypominamy zarazem, iż kto prędzej prenumeratę nadeszle, będzie mógł ładniejszy wylosować podarek i prędzej otrzyma piękny Kalendarz „Roli“.

Opiekun trędowatych. Daleko, bardzo daleko, o tysiąc mil od nas, na wielkiej wyspie Madagaskarze przy wschodnim brzegu Afryki, umarł niedawno misyonarz, Polak rodem, ksiądz Jan Beyzym. Od 14 lat poświęcał się on, cichy i ofiarny zakonnik, obsłudze trędowatych. Trąd — to jedna z najokropniejszych w świecie chorób. Człowiekowi, dotkniętemu nią, skóra kawałami grubieje, pokrywa się jakby łuską, pęka; twarz skutkiem tego staje się niekiedy odrażająca; prócz tego i głos się zmienia, traci dźwięk, staje się przykrym, chrapliwym; bardziej zaś chorym ciało za życia gnije i odpada od kości, tworzą się więc rany ziejące tak okropnym zaduchem, że w pobliżu trudno oddychać. Na domiar złego choroba ta jest zaraźliwa, więc ludzie boją się zwykle trędowatych i nie pozwalają im zbliżać się do swych siedzib. Los więc tych nieszczęśliwych jest okropny. Skazani na cierpienie i nędzę, nie znajdują u bliźnich pomocy. Czyż można wyobrazić sobie większych nędzarzy i czy może być większe poświęcenie, jak pielęgnować ich i przebywać w ich otoczeniu? Dowiedziawszy się o smutnym losie trędowatych, wyjechał O. Beyzym w roku 1898 na Madagaskar i tu otoczył ich opieką zarówno materyalną, jak i moralną. Wybudował dla nich obszerne schronisko z kaplicą, mogące pomieścić około 200 nieszczęśliwych. — W ostatnich czasach miał O. Beyzym zamiar pośpieszyć na Sachalin i wziąć w opiekę duchowną skazańców, ginących w tamtejszych więzieniach. Niestety, w chwili, gdy właśnie miał swój piękny zamiar przeprowadzić, Pan Bóg nie chciał już odeń nowej bohaterskiej ofiary i powołał sługę swego do siebie. O. Beyzym wiódł życie niemal pustelnicze, wstrzemięźliwe i bardzo proste. Wstawał o wpół do 4 rano, szedł na spoczynek o 11 w nocy, sypiał na deskach, a za pożywienie całodzienne miał trzy garści jałowego ryżu, nieco herbaty i wody. O. Beyzym urodził się w r. 1850 jako syn bogatego właściciela majątku na Wołyniu, lecz nie chciał życia świeckiego, pogardził dostatkami, honorami, karyerą. Kapłańskie święcenia przyjął w roku 1881, w zakonie spędził lat 40. O. Beyzym to wzór apostoła, wzór zaparcia się i miłości ewangelicznej.

Zjazd oświatowy T. S. L. odbędzie się w niedzielę dnia 20 b. m. o godzinie 2 popołudniu w sali »Sokoła« w Chrzanowie. Na porządku dziennym między innemi: referaty dyrektora St. Polaczka: »Powiat chrzanowski pod względem oświatowym i ekonomicznym«, Karola Wierczaka, prof. Zygmunta Podgórskiego sekr. i t. d.

Klęska nieurodzaju na Podhalu. Z zakopanego donoszą, że klęska głodu na Podhalu przedstawia się obecnie w świetle cyfr urzędowych coraz straszniej. Jeszcze w samem Zakopanem, gdzie ludność jest stosunkowo najmajętniejsza, nędza niewiele może się dać ludności odczuć, lecz i tu cyfry urzędowe wykazują, iż klęską dotknięty jest obszar 2107 m., jęczmienia, owsa, koniczyny, siana i ziemniaków. Jeszcze w ciągu obecnej jesieni, a najpóźniej w marcu, ludność miejscowa stanie wobec zupełnego braku paszy dla bydła, cóż dopiero, gdy przyjdzie do wiosennych zasiewów. Obecnie wskutek klęski górale wyzbywają się na gwałt bydła, którego cena spadła o 50 proc. Rząd zajął się zbieraniem dat co do rozmiarów tej klęski i zastanawia się nad sposobami niesienia pomocy góralom. Poza ułatwieniem ludności kupna paszy i żywności okazuje się jeszcze potrzeba dania góralom sposobów zarobkowania.

(J. P.) **Pomnik grunwaldzki.** Za staraniem ks. proboszcza i kanonika Wojciecha Młyńca, a pomocą p. marszałka powiatowego Włodzimierza Sroczyńskiego i ofiarnością parafian, stanął w powiecie dąbrowskim w Bolesławiu wspaniały pomnik, jako pamiątka zwycięztwa pod Grunwaldem. Na szczycie pomnika jest umieszczony posąg Matki Boskiej N. P. Pod nim słowa: »Królowo Korony Polskiej módl się za nami« i »Ojczyznę, wolność racz nam wrócić Panie«. Dalej jest umieszczony biały orzeł z rozpostartemi skrzydłami.

Nabożeństwo od 289 lat. Dnia 10 b. m., we czwartek, przypadała rocznica bitwy pod Chocimem, gdzie wojsko polskie pod wodzą hetmana Jana Karola Chodkiewicza pobiło Turków w r. 1621. Pamiątka tego zwycięztwa obchodzona jest corocznie nabożeństwem dziękczynnem w katedrze sandomierskiej. Składa się ono z uroczystej procesyi, podczas której duchowieństwo śpiewa litanię do Wszystkich Świętych, oraz hymn: »Te Deum laudamus«. Obchód ten ustanowił papież Grzegorz XV i wydał odpowiedni dekret dnia 23 stycznia 1623 roku. Już więc 289 lat rozbrzmiewa w starej katedrze w d. 10 października pieśń dziękczynna.

Napad w sądzie. W gmachu sądowym w Czerniowcach, gdzie również mieści się i filia urzędu podatkowego, zjawił się niejaki Stefan Bodnar, 70 lat liczący wieśniak z okolicy, celem odebrania większej kwoty pieniężnej z kasy sierocińskiej. Po odebraniu i przeliczeniu pieniędzy przy okienku, schował je Bodnar w zanadrze i chciał wyjść z gmachu. Gdy jednak przechodził długim i pustym kurytarzem, przystąpiło do niego nagle dwóch nieznanych mu drabów, a chwyciwszy go za gardło i przyłożywszy mu nóż do piersi, zażądali wydania odebranych przed chwilą pieniędzy.



Przerażony starowina wydobył pieniądze i wręczył je opryszkom, lecz na szczęście w tej chwili właśnie zjawił się w korytarzu woźny sądowy, którego gdy Bodnar spostrzegł, począł krzyczeć, czem widocznie przestraszeni opryszki, rzuciwszy pieniądze na ziemię, corychlej umknęli drugą stroną kurytarza.

(J. K.) **Wspomnienie pośmiertne.** Dnia 8 b. m. zmarł w Sokolnikach pod Lwowem młody

wikary, ksiądz Mikołaj Korzelski, syn biednych rodziców z Oleska, obarczonych liczną dziatwą. Śmierć nastąpiła z powodu udaru sercowego. Ś. p. zmarły jakkolwiek dwa lata dopiero był księdzem, potrafił sobie zjednać miłość i serce ludzi. Cichy i spokojny, uprzejmy i życzliwy był prawdziwym wzorem kapłana katolickiego. Najstarszy syn w rodzinie był ubogim rodzicom szczęściem i jedyną nadzieją lepszej doli.

(J. K.) **Kwesta**. Wobec niedoboru Tow. Szkoły ludowej Polacy zamieszkali w Olesku we wschodniej Galicyi, w kilkunastu domach złożyli do puszki chodzących po kweście prawie 40 koron. Skromna to wprawdzie kwota, dana jednak tak jak nas stać było, miła, bo dana z tem przeświadczeniem, że płaci się podatek narodowy. Wszystkie miasteczka i wsie polskie powinny urządzić kwestę lub przedstawienia na dochód T. S. L. Nie skąpmy grosza na naukę i na szkoły polskie.

Budowa kościoła. Wioska nasza, choć uboga, buduje obecnie kościół, którego dotychczas nie miała. Radość rozpiera serca parafianom, że będą mieć wkońcu własną świątynię Pańską, nie tak wspaniałą może, aleć zawsze piękną i miłą Bogu. Dzieląc się z Braćmi tą wiadomością, składamy zarazem na tem miejscu najserdeczniejsze podziękowanie Panom: posłowi naszemu Włodzimierzowi Kozłowskiemu i staroście Michałowi Rawskiemu a w pierwszym rzędzie proboszczowi, przewielebnemu księdzu Franciszkowi Zawiszy, za którego orędownictwem wyżej wymienieni panowie postarali się, że otrzymaliśmy na budowę z ministerstwa wyznań znaczną zapomogę w kwocie 5.000 koron. Gdyby nie pomoc tych zacnych dobrodziejów, nie mielibyśmy jeszcze przez długie lata własnego kościoła.

Komitet budowy kościoła rz. kat.
w Miękiszu Nowym.

(J. K.) **Otrucie grzybami**. Jak wykazują zestawienia władz, umiera rocznie w Galicyi do 300 osób z powodu otrucia grzybami. Tyle się mówi i tyle się pisze, które grzyby są jadalne i jak je poznać, jak je gotować należy i jak należy uważać aby cebula w gotujących grzybach była białą, bo gdy poczernieje to grzyby są trujące — a jednak pomimo tylu przestróg i pouczeń ludzie trują się nieopatrznie. Winna temu dużo ciemnota, która panuje jeszcze w wielu naszych chatach — brak książki czy gazety jest powodem ciemnoty a ciemnota jest największym wrogiem ludzi. Oto w Krasnem padła ofiarą nieumiejętnego rozpoznawania grzybów cała rodzina. Wśród strasznych boleści wewnętrznych zmarł 67 letni gospodarz Bazyli Krawczuk, dwóch jego synów i córka.

Piękne kobiety. Z Wiednia donoszą, że policya tamtejsza wykryła wczoraj w jednej kawiarni jaskinię gier hazardowych, do której uczęszczały same kobiety. Policya dowiedziała się o tem wskutek doniesienia mężów owych kobiet, które wszystkie pieniądze otrzymane na gospodarstwo, przegrywały. Zrozpaczeni mężowie, nie mając innego środka, zawiadomili o tem policyę. Oj, zdałoby się takim kobietom porządne lanie Maćkowe!

Długowieczność. Sędziwego wieku doczekała się w Bydgoszczy, w Poznańskiem, wdowa po nauczycielu Kirste. W tych dniach skończyła staruszka 106 lat. Ponieważ staruszka żyje w bardzo skromnych warunkach, podarowało jej miasto 40 marek. Staruszka jest mimo swego sędziwego wieku bardzo rzeźka i dość zdrowa.

Oko wybite przez krowę. W niezwykły sposób postradał oko pewien pastuszek w górskiej wiosce styryjskiej. Z żartów począł on drażnić się z krową, wreszcie rozwścieczone zwierzę nagłym ruchem ubodło go w głowę, przyczem koniec rogu wbił się w oko chłopca.



Zemdlonego podnieśli towarzysze i ocucili, oko jednakże wypłynęło. Jest to odstraszający przykład, że nie należy zwierząt drażnić, gdyż najłagodniejsze nawet zwierzę domowe, rozzłoszczone, może o ciężkie kalectwo lub o śmierć nawet przyprawić.

Niewłaściwy schowek. Pewien gospodarz w Poznańskiem sprzedał kilka świń za 400 marek a pieniądze schował w siennik. Żona jego nie wiedząc o tem wyrzuciła zużytą słomę ze siennika do chlewa, gdzie pieniądze papierowe pożarły świnie tak, że tylko strzępy zostały. Nie trzeba zatem nigdy chować pieniędzy w miejsca niewłaściwe, bo przez nieprzewidziany przypadek stracić je można.

Rowerem z dachu. Niedawno temu zdarzył się w Berlinie niezwykły wypadek. Na dachu hali targowej pracowało kilku czeladników blacharskich. Jeden z czeladników zabawiał się w ten sposób podczas pauzy obiadowej, że na rowerze, który ze sobą zabierał, wykonywał na dachu rozmaite sztuki.



Pewnego dnia zbliżył się widocznie zanadto do krańca dachu (a może stracił władzę nad rowerem), dość na tem, że nagle wraz z rowerem runął w dół w podwórze. Podwórze zaś było przykryte dachem szklanym — nieszczęśliwy padł na ten dach i ciężko się poranił. Ostatecznie zawisł na jakimś haku. — Z przykrego położenia uwolniła go straż pożarna, poczem nieprzytomny odwieziony został do szpitala.

Wykradzenie dziecka przez żebraka. Podczas odpustu Narodzenia N. Maryi Panny w Częstochowie w r. 1904 przepadła bez wieści 7-letnia Anusia, córeczka Franciszka Konckiego z pod Często-

chowy i rodzice uważali już dziecko za stracone. Jakież było ich zdziwienie, gdy po ośmiu blisko latach dowiedzieli się od ludzi, że Anusia żyje i znajduje się w posiadaniu dziada żebraka, Józefa Dymczaka, który w lecie r. b. wynajął ją do robót polnych we wsi Wysokienice, pod Skierniewicami, w Królestwie Polskiem, gdzie pracowała przez trzy miesiące u gospodarza Wawrzyńca Winczaka. Oddając dziewczynkę do służby, dziad Dymczak zapewniał Winczaków, że jest ona jego córką i prosił dla niej o rodzicielską opiekę. Gdy pewnego razu Anusia pokłóciła się z koleżankami, te ostatnie przezwały ją »dziadówką«, skutkiem czego zaczęła płakać i narzekać na swoją niedolę, poczem pod wielkim sekretem powiedziała o wszystkiem gospodyni Winczakowej, która opowiedziała znów mężowi, a ten ostatni udał się do księdza o radę. Powiadomiona policya w krótkim czasie ujęła dziada i oddała go w ręce sprawiedliwości, dziewczynę zaś, po spisaniu protokółu odwieziono do uszczęśliwionych odzyskaniem dziecka rodziców, mieszkających obecnie w Kielcach.

Śnieżyca w Warszawie. Niedawno szalała w Warszawie śnieżyca, która sprawiła istne spustoszenia w ogrodach i sadach Warszawy gdzie drzewa, później się rozwijające, jeszcze były pokryte listowiem. Powtórzyła się klęska, która wydarzyła się 19 października 1879 r., gdy nagle śnieg, spadłszy na drzewa jeszcze nie ogołocone z liści, zniszczył w mieście i okolicy dużo drzew, połamawszy ciężarem swoim gałęzie.

Osobliwy pogrzeb. Dzienniki rosyjskie opisują historyę następującą: W tych dniach podczas dzielenia się zdobyczą z jednego z magazynów w Odesie, zabity został przez wspólników złodziej Kossowskij, noszący przezwisko »króla bandytów«. Kossowskij brał udział w kilku większych napadach, pomiędzy innymi w głośnym napadzie czarnych samochodów na szosie moskiewskiej. Ostatnią przysługę »królowi« przyszedł oddać cały złodziejski i bandycki świat Odesy, prócz tego przybyła umyślna deputacya z 6 osób od złodziei z Kiszyniowa. Ogółem w pogrzebie Kossowskiego wzięło udział przeszło 200 osób, których fotografie oddawna znajdują się w biurach policyjnych. Naczelnik policyi śledczej dowiedziawzy się o tak niezwykłym pogrzebie, postanowił chwilę wyzyskać i na drodze pogrzebu zgotował zasadzkę. Skoro tylko pogrzeb wszedł na jedną z ulic, agenci otoczyli samochód, w którym siedziało 6 bandytów, oddawna poszukiwanych przez policyę. Czterech złoczyńców, niosących trumnę, zatrzymało się, spuściło ją na ziemię i zaczęło prosić naczelnika policyi o pozwolenie zaaresztowanym oddania ostatniej posługi koledze. Naczelnik policyi obawiając się następstw, uwolnił aresztowanych. Pogrzeb ruszył dalej Gdy wszyscy idący za pogrzebem weszli na cmentarz, 300 policyantów przebranych zajęło wyjścia i po skończonym pogrzebie aresztowali wszystkich uczestników. Na czas dłuższy uwięziono więc od jednego zamachu 162 złoczyńców, wśród których byli przestępcy poszukiwani przez policyę od kilku lat.

Ludność Macedonii i Albanii. W Macedonii, wedle ostatnich spisów ludności, przebywa 400.600 Turków i 136.000 muzułmańskich Bułgarów czyli t. zw. Pomaków. Prócz tego żyje tu jeszcze 1,028.000 chrześcijańskich (prawosławnych) Bułgarów. Na samem południu Macedonii, wzdłuż wybrzeży morskich, żyje 230.500 Serbów i 660.000 Arnautów, którzy wyznają — prócz 12.000 prawosławnych i 7000 katolików — muzułmanizm. Nie dosyć na tem; w tej »ziemi-Babel« mieszka jeszcze spora liczba t. zw. Cincarów czyli Kucowołochów (koczujących i na wpół osiadłych Cygano-Wołochów) 50.700. Wszyscy są prawosławnego wyznania. Nadto zamieszkuje tu także 62.000 żydów, 40.000 muzumańskich cyganów i 1.200 Czerkiesów. — Wedle wyznania istnieje tedy w Macedonii 1,360.000 muzułmanów, 1,038.000 prawosławnych, 193.000 katolików i 62.000 izraelitów. W Albanii żyje 535 000 Arnautów (z tego 260.000 muzułmańskich, 110.000 prawosławnych i 165.000 katolickich), 70.000 Serbów, 190.000 Wołochów (Rumunów), 110.000 Greków i cokolwiek Bułgarów i Włochów. Wedle wiary zatem 334.000 muzułmanów zamieszkuje Albanię, 165.000 katolików, 460.000 prawosławnych i nadto 11.000 żydów.

Tragedya rodzinna. W miasteczku Olivarez, w Hiszpanii, rozegrała się w tych dniach straszna tragedya rodzinna. Robotnik, Manuel Villar, wszczął kłótnię z żoną i, wpadłszy w szał, chciał ją udusić. Nieszczęśliwa kobieta wyrwała się jednak z rąk szaleńcowi i pobiegła z trojgiem dzieci w pole. Villar puścił się za nią w pogoń, wobec czego goniona, nie mając innego wyjścia, wpadła do krytej słomą szopy i tam zabarykadowała się z dziećmi. Villar usiłował wyważyć drzwi, a gdy mu się to nie udało, podpalił strzechę i, usiadłszy w polu, przyglądał się spokojnie pożarowi. Zwabieni wreszcie widokiem płomieni i krzykami przechodzący opodal drogą włościanie, nadbiegli z pomocą i zaczęli szopę rozwalać. Ratunek jednak okazał się spóźniony. Nieszczęśliwa matka i jej dzieci zginęły w płomieniach. Villara aresztowano.

Wyciąganie konia z kopalni. Człowiek dla swego przemysłu, dla wykonywania różnych prac, do wynalazków czy nauki posługuje się także często zwierzętami. Nie kieruje się w tem wszakże uczuciem, nie dba o to, czy zwierzę wnet życie straci lub zostanie kaleką.



Znane jest aż nadto, bo często spotykane na ulicach wielkich miast katowanie koni przyprzężonych do ciężkich wozów lub psów używanych także do zaprzęgów. Jest to bardzo smutnem, że tak się dzieje i należy zwalczać takie obchodzenie się ze zwierzętami. Powstają też z tego powodu Towarzystwa ochrony zwierząt, które starają się, by zwierząt nie dręczono. Ustawy też w niektórych państwach dręczenie zwierząt karzą dość surowo.

Jak wiadomo i w kopalniach soli czy węgla używają także koni. Los konia, którego spuszczają już pod ziemię jest bardzo bolesny. Nie ujrzy on już nigdy światła dziennego. W kopalni pracuje przy świetle sztucznem i po pewnym czasie traci wzrok. Gdy stanie się z powodu wieku czy kalectwa nieużytecznym, wyciągają go już ociemniałego. Obrazek nasz przedstawia wyciąganie za pomocą pewnego rodzaju sieci konia z jednej z kopalń angielskich po wybuchu w niej strajku górników.

Wyścigi orłów i — samochodu. Pewien właściciel samochodu, powracający samochodem

z Saint-Maurice de Montpellier, usłyszał nad swoją głową, w przejeździe przez las, straszliwy łopot orlich skrzydeł. Królewskie ptaki były wciąż bliżej i bliżej, grożąc podróżnemu rozwartemi ostrzami swych dziobów. Podróżny, nie tracąc odwagi i nadziei, pośpieszał według możności, ale wąska droga nie pozwoliła mu wyzyskać całej siły motoru. Z jednej strony groziło mu rozszarpanie przez skrzydlatych olbrzymów, z drugiej roztrzaskanie czaszki o przydróżne drzewo lub połamanie wszystkich członków w rowie. Rozpacz ogarniała serce podróżnika. W duszy powstała myśl trwożna, że rodzina, ku której zdążał, nie ujrzy go żywego. Tem więcej przeto pośpieszał — orły jednak nie myślały zaprzestać pościgu. Przeciwnie, na kształt chmury sunęły za samochodem z szybkością strzały, a błyskawiczne ruchy szerokich skrzydeł już . już.,. muskały głowę podróżnego. Nareszcie! Serce podróżnika uderzyło nadzieją wydobycia się z niebezpieczeństwa. Oto zbliżał się do drogi gładko zabrukowanej. Teraz — myślał — rozstrzygnie się walka, kto zwycięży? Gdy koła samochodu potoczyły się po gładkim torze — szybkość jego doszła do największej siły. Orły uczuły wówczas, iż zostały pokonane, samochód bowiem z miejsca wyprzedził je o 60 kilometrów. A więc zwyciężył człowiek i... samochód.

Najbrzydszy ptak. Jeden z londyńskich ogrodów, gdzie znajdują się dzikie zwierzęta otrzymał niezwykle rzadki okaz: rodzaj bociana o dziobie kształtu pantofla. Ptak ten żyje w bagnach Górnego Nilu w Egipcie i żywi się wyłącznie rybami.



Jest nadzwyczaj złośliwy i rzuca się nawet na swego dozorcę. Przysłał go ze Sudanu w darze dla londyńskiego ogrodu zoologicznego jenerał Wingate, który otrzymał od pewnego krajowca jajo ptaka i dał kurze do wysiedzenia. Opinia przyrodników zgodna jest w tem, że jest to najbrzydszy ptak, ze wszystkich jakie dotychczas poznaliśmy. Obrazek nasz przedstawia ten okaz ptasiej brzydoty.

Zemsta po 40 latach. Niedawno wypuszczono w Rzymie na wolność 72-letniego starca, który skazany był na dożywotnie więzienie za morderstwo popełnione na pewnym golarzu. Obecnie po czterdziestu latach więzienia darowano ma resztę kary w drodze łaski. Starzec, zawzięty Włoch, wyszedłszy z więzienia, postanowił zemścić się na świadku, który podczas rozprawy sądowej przed 40 laty złożył najwięcej obciążające go zeznania. Przez kilka więc dni szukał w całym Rzymie swego wroga, aż znalazł w końcu jego mieszkanie. Odtąd śledził go krok w krok i uzbroiwszy się w sztylet, czekał na sposobną chwilę, kiedy będzie mógł dokonać swej zemsty. W końcu starzec spotkał swego wroga na najmniej uczęszczanej ulicy i ugodził go sztyletem. Cios jednak chybił i napadnięty odniósł tylko lekką ranę. Mściwy starzec usiłował zadać swojej ofierze nowy cios, ale obezwładniono go i rozbrojono. Przekonawszy się, że uderemniono mu wykonanie zemsty, nad którą rozmyślał długie lata w kaźni — popadł starzec w szał. Pod silną strażą odstawiono go do więzienia, w którem już resztę dni swego życia przepędzi.

Długi sen. Na mało znanej, skalistej wysepce norweskiej, Oknö, zdarzył się przed laty niezwykły wypadek, który się odbił głośnem echem w całym kraju. Pewna dziewczyna, nie obciążona dziedzicznie i od urodzenia zdrowa, skoro doszła do wieku lat 14, wróciwszy do domu, zaczęła się skarżyć na gwałtowny ból zębów, dostała nudności i nagle wpadła w dziwny stan zupełnej bezwładności. Był to rodzaj tężca całego ciała, połączony z chorobą nieustającej śpiączki. Karolina Olsson — tak się nazywała chora — pozostawała w tym stanie lat trzydzieści dwa. Przyjmowała wprawdzie od czasu do czasu płynne pokarmy, ale ani poruszyć się, ani przemówić nie mogła. Dwa razy tylko, raz po śmierci matki, drugi raz, skoro powiedziano jej, że brat, jedyny jej opiekun, utopił się, odzyskała na chwilę mowę. W kilku słowach skargi wyraziła żal po stracie najbliższych. Kobieta, która jej usługiwała, zauważyła, że chora, siedząca zwykle bez ruchu na łóżku, otwierała od czasu do czasu oczy i próbowała wydobyć głos, zawsze bezskutecznie. Nagle po 32 latach zawołała Karolina silnym głosem: »Gdzie jest matka?« i skoro na to wołanie nadbiegli jej cioteczni bracia, spytała ze zdziwieniem: »Czy wyście moi bracia? tamci byli przecież małymi chłopcami« Od tej chwili zaczęło się szybkie wyzdrowienie. Karolina wstała z łóżka i jest zupełnie normalną kobietą. Przypomina sobie dokładnie swoje dzieciństwo, tylko o swej długiej chorobie nie chce mówić, milcząc uparcie na zapytanie, skierowane do niej w tej kwestyi. Lekarze norwescy, którzy ją dokładnie zbadali, nie umieją wytłómaczyć przebytej choroby, gdyż Karolina jest zupełnia zdrowa, lud natomiast, zamieszkujący wyspę Oknö i pobliskie wybrzeża, przypisuje jej trzydziestoletni sen nieczystym siłom.

Koniec Europy. Dyrektor zakładu, w którym badane są trzęsienia ziemi za pomocą umyślnych aparatów, w Finlandyi, prof. Albert Nobl, wygłosił ponure proroctwo. Oto, według niego, Europa zginie nagłą śmiercią, ani mniej ani więcej tylko w roku 1972. W roku tym ma rozszaleć się straszliwe trzęsienie ziemi i Europa zapadnie się w ziemię. »Siły przyrody — mówi profesor — już od dwóch stuleci przygotowują się do tej olbrzymiej katastrofy. Powierzchnia ziemska w Europie podminowana jest przez olbrzymie korytarze, w których gromadzą się moce wybuchowe. Powierzchnia musi ustąpić przed tym strasznym naporem lawy, dymu i ognia«.

Dom o 55 piętrach. W jednej z najbardziej ożywionych dzielnic Nowego Jorku zbudowano niedawno na hotel olbrzymi dom o 55 piętrach, 228 metrów wysoki. Obecnie jest jeden tylko gmach na świecie, przewyższający kolos nowojorski, mianowicie wieża Eifla w Paryżu, której wysokość wynosi 300 metrów. Z gmachów mieszkalnych dom ten jest najwyższy na kuli ziemskiej.

Skład żelaza w żołądku. W Chicago dzieją się — jak wogóle w całej Ameryce — cuda... Wszystko to, co nie może się nawet pomieścić w mózgownicy Europejczyka, tam jest namacalną dla każdego rzeczywistością. Dlatego też bez wszelkiego podziwu należy przyjąć niezwykłą w swej treści wiadomość o wykryciu w żołądku włościanina Johna Martineza, składu towarów żelaznych. — Tak jest, w wiadomości tej niema najmniejszej przesady. Otóż

ów John Martinez poddał się w jednej z lecznic w Chicago operacyi, albowiem cierpiał straszne bóle w okolicy żołądka. Długo lekarze badali chorego, długo się zastanawiali nad istotą jego choroby, aż wreszcie zdecydowali się nożowi powierzyć rozstrzygnięcie tajemnicy. Jakże byli zdziwieni, kiedy przy operacyi znaleziono w żołądku 19 noży kieszonkowych, 17 gwoździ, 5 trzonków do noży, 12 śrub i jednego srebrnego dolara. Martinez, który ma obecnie 36 lat, teraz dopiero wyjaśnił, że od 18 roku życia połykał on z zamiłowaniem wszelkie metalowe przedmioty, które gnieździły się następnie w jednym z zakątków przestrzennego żołądka. Dopóty dzban wodę nosi, dopóki się ucho nie urwie, to też i żołądek włościanina, kiedy mu już towarów owych było za dużo, począł się buntować, aż wreszcie doprowadził go do stołu operacyjnego. Gdyby lekarze o jeden miesiąc tylko opóźnili się z operacyą, włościanin o strusim, zaiste, żołądku, byłby już nie żył. Przedmioty bowiem połknięte stanowiły nieledwie jedną masę, żelaztwo pokryło się rdzą, tylko srebrny dolar błyszczał wspaniale, lecz i z niego nie miał już Martinez wielkiego pożytku, gdyż dawno wyszedł już z obiegu. Obecnie maniak ów będzie miał dotkliwą nauczkę, co połykać można, a czem żołądka obciążać nie należy.

Ludożercy w Brazylii. Pewien major wojsk brazylijskich odbył dziewięciomiesięczną podróż naukową w niezaludnionych przez białych północnozachodnich obszarach lesistych Brazylii. W olbrzymich lasach, w których nigdy nie postała jeszcze noga białego na wybrzeżach rzeki Liberdado, major ów spotkał liczne plemię ludożerców. Kobiety tego plemienia, o cerze jasno bronzowej, odznaczają się bardzo regularnymi rysami, a między niemi są nawet bardzo ładne. Mężczyźni wysokiego wzrostu, silnie i kształtnie zbudowani, posiadają wąskie usta i wysokie ładnie sklepione czoła. Na ogół charakter tego ludu jest dosyć łagodny. Traktowani dobrze zawierają chętnie stosunki przyjacielskie, ale rozdrażnieni złem obchodzeniem stają się, jak zapewnia major, »prawdziwymi dyabłami«. Major ze swą silną i dobrze uzbrojoną eskortą, spędził jakiś czas wśród tych ludożerców i nawiązał z nimi stosunki przyjacielskie i nawet zaprzyjaźnił się szczerze z jednym z wodzów osady dzikich, w której zamieszkał sam jeden w celu lepszego poznania obyczajów jej mieszkańców. Ponieważ dzicy chodzą zupełnie nago, więc i major musiał zastosować się do tej mody i pozwolić swe ciało wymalować na kolor jasno-czerwony, co ułatwiło mu znakomicie zaprzyjaźnienie się z dzikimi.

Roztargniony złodziej. Amerykański milioner, Vanderbilt, nudził się w domu gry w Ostendzie, gdy nagle odkrył brak swej szpilki do krawatki z perłą, wartości czterdzieści tysięcy franków. O wypadku doniósł natychmiast tajnemu policyantowi, który miał polecony nadzór nad salami gry, zapewniając wysoką nagrodę za zwrot skradzionej drogocennej pamiątki. Wnet potem zjawił się przed Vanderbiltem policyant, wiodąc eleganckiego pana, który prosił o chwilę rozmowy sam na sam. Vanderbilt udał się z obcym na bok. Wówczas pan ów wyjął z bocznej kieszeni surduta co najmniej tuzin szpilek do krawatów, mówiąc: »Wybacz pan, nie pamiętam jednak dokładnie... Oto moje szpilki do krawatów, zdobyte dziś wieczór. Czy nie byłby pan łaskaw poszukać swojej?« Vanderbilt przypatrywał się zdumiony bezczelnemu rzezimieszkowi i po chwili był napowrót w posiadaniu swojej cennej perły.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

PP.: Kazimierz Marek w S.: Powieść p. t. »Przez pogrom« wyszła w wydaniu ksiażkowem nakładem Macierzy Polskiej we Lwowie i tam ja można nabyć za cenę 1 Kor, jak również we wszystkich księgarniach. Autor przygotowuje nowa powieść, gdzie jednakże będzie drukowana, dotychczas nie wiemy. — Józef Kobylański w C.: Ciesza nas bardzo pochwały Kalendarza — dokładaliśmy wiele starań, aby dać rzecz pod każdym względem ładna i dobra — może uda się choć w części wyprzeć licha tandetę zagraniczna. Pomimo nieogłaszania konkursów nadsyłane prace będziemy drukowali, jak dotad. — Jan Światek w Ż.: Wiersz p.t. »Rozwiane listki« dobry, ale, niestety, do »Roli« zadługi. Inne w miarę miejsca umieścimy. — Stanisław Mirek w G.: Wiersze powinny być krótkie a posiadać rym i rytm, najlepiej treści poważnej lub patryotycznej. — Józef Żadło w H.: Obrazek, któryśmy dali p. t. »Napoleon i widmo« jest reprodukcya obrazu artysty malarza J. F. Layraud. Odbitek kolorowych tego obrazu niema. — Józef Orzechowicz: A czy nadesłane rzeczy własnego układu? O ile będa dobre — prosimy. Maciek dziękuje. — Maciej Szydełko w O. Przysłał Pan czek bez swego adresu, dlatego gazeta nie wysłana. — Jan Habela w J.: Serdeczne dzięki za życzliwość czynna. — Jan Liptak w B.: Wysłaliśmy, nie nasza wina, że numer nie doszedł. Reklamacyę wysyła się bez marki. Józef Fornol w O.: Zawsze w czwartek numer pański wysyłamy. Franciszek Swatek w L.: Za zmianę adresu należy się 40 halerzy. — J. K. z Danii: Możemy wysłać — półrocze kosztuje 3·50 frank. — Jan Cebula z M.: Prenumerata w Niemczech kosztuje rocznie 5 marek; od października więc do końca 1913 r. 6·25 marek. — Jakób Marszałek z K.: Numerów oddzielnych z zeszłego roku nie posiadamy. — Józef Szymański z B.: Listu i marek nie otrzymaliśmy. Jan Florek z B.: Okładki na r. 1913 niegotowe, po ukończeniu będa wysłane.

Potwierdzenia prenumeraty.

PP.: Józef Gawlik z Ł. 2 K., Andrzej Glinka z P. 1 K., Józef Żurawski z N. 1 K., Jan Gałuszka z S. 1 K., Wiktorya Fiołek z G. 1 K., Józef Krzyżak z T. 1 K., Rudolf Jadawik z K. 2·50 K., Wiktorya Biedroniówna z R. 1 K., Zwiazek Uczniów Rękodz. w K. 1. K., Józef Orzechowicz w S. 2 K., Michał Tomczuk z W. 1 K., Jan Stefański z R. 1 K., Józef Foltyn z W. 1 K., Szymon Kukuła z Ł. 2 K., Jan Głowacz z Ż. 1 K., Adam Furtek z R. 2 K., Mańkowska z K. 15 K., Franciszek Możdżan z M. 1 K., Ignacy Płaza z S. 4 K., Kraj. Szkoła rol. z D. 1 K., Antoni Garbac z Ch. 1 K., Franc. Gugulski z P. 2 K., Augustyn Machej z M. 2·50 K., Józef Adamczyk z N. 4·50 K. Ludwik Powada z K. 1 K., Anna Skrzypkówna z K. 1 K., Antoni Hoszko z P. 1 K., Ryszard Mollniek z S. 1 K., Wojciech Kamysz z M. 1 K., Jan Cebula z M. 4·25 K., Wincenty Guzik z K. 1 K.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 8 paźdz.:

Pszenica	Kor.	10·75	do	11·10	za 50 kg.
Żyto	„	9·70	„	10·20	„
Jęczmień	„	9·40	„	10·20	„
Owies	„	9·85		10·25	„
Otręby pszenne	„	6·50	„	6·60	„
Otręby żytnie	..	6·30	„	6·50	„

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 8 październ.:

Buhaje	Kor.	200	do	365	za sztukę
Woły	„	250	„	430	„
Krowy	„	178	„	390	„
Jałówki	„	182	..	300	„
Cielęta	„	32	„	100	„
Owce i kozy	„	16	„	32	„
Świnie bita waga)		158	„	174	za 50 kg.

Za zmianę adresu należy się 40 halerzy.

Podarek Szczęścia „Roli“.

Rola stanęła już na silnych podstawach a szerokie koło jej przyjaciół i czytelników z każdym dniem się zwiększa. Dobroć pisma a przytem niebywała taniość torują mu drogę w coraz dalsze okolice, zyskując zarazem w bliższych coraz więcej zwolenników. Jak co tygodnia każdy numer *Roli* oczekiwany jest wszędzie z niecierpliwością, tak samo dawni nasi prenumeratorzy z początkiem każdego roku czekają setek Podarków Szczęścia, jakie wśród całorocznych prenumeratorów z początkiem stycznia rozlosowujemy. Na początku bieżącego, 1912 roku, rozlosowaliśmy blizko półtora tysiąca obrazów i książek, w roku przyszłym 1913, ponieważ liczba prenumeratorów ciągle się powiększa, powiększymy też znacznie liczbę podarków. Dotychczas zakupiliśmy do rozlosowania

tysiąc sześćset obrazów i książek,

których liczbę w razie większego napływu całorocznych prenumeratorów jeszcze powiększymy, tak, aby **każdy ósmy całoroczny prenumerator**, przysyłający przedpłatę **przed** Nowym Rokiem 1913, otrzymał Podarek Szczęścia. Wymieniamy tutaj przygotowane podarki:

Pan Jezus w Ogrojcu.

Olbrzymi obraz na płótnie w ramach złoconych wartości 100 Koron, stanowiący główną wygraną.

30 Encyklopedyj Macierzy Polskiej,

każda po dwa grube tomy, w pięknej oprawie. Jest to sławne dzieło, z wieloma obrazkami, z którego można dowiedzieć się o wszystkiem, co człowieka oświeconego powinno zajmować, a więc rzeczy religijne, historyczne, przyrodnicze i t. p. Każda książka dwutomowa kosztuje 10 koron.

60 obrazów Matki Boskiej Częstochowskiej

w ozdobnych złocistych ramach, za szkłem, z nowemi koronami. Obraz taki kosztuje 10 Koron.

300 książek p. t. *Rolnik Wzorowy,*

czyli przypomnienie co, kiedy i jak w gospodarstwie czynić należy. Piękna to książka z wieloma obrazkami.

Przeszło tysiąc dwieście Książek do nabożeństwa

a mianowicie w dwóch gatunkach, wielkościach i cenach:

200 książek p. t. ***Ogień miłości Bożej,***

stron 628, w oprawie złoconej, ze złoconymi brzegami, każda wartości po 2 korouy.

Przeszło 1000 książek p. t. ***Kwiatek Seraficki,***

stron 384, oprawne ze złoceniami, z brzegami czerwonemi, po 1 koronie każda.

Każda książka do nabożeństwa oprócz ładnej oprawy, ma dla ochrony pudełeczko, do którego się ją wsuwa. Otrzyma ją co dziesiąty prenumerator z tych, którzy prenumeratę nadeszlą przed Nowym Rokiem.

W tym roku, tak jak i w ubiegłym dajemy **dwojakie książki do nabożeństwa**: Droższe przeznaczone są dla dziesiątek od 1 do 2.000, tańsze dla dziesiątek powyżej 2.000. Ci więc, którzy pospieszą się z nadesłaniem prenumeraty i okażą tem większą chęć czytania, otrzymają też lepsze podarki od tej *Roli,* którą więcej od innych ukochali.

Numer swój otrzyma każdy prenumerator z góry, zaraz po nadesłaniu pieniędzy. W tym roku, tak jak i w ubiegłym nie będziemy potwierdzali w *Roli* otrzymania prenumeraty, wraz z numerami, które przypadły prenumeratorom, tylko każdy otrzyma **osobną kartkę** z zawiadomieniem, że prenumerata nadeszła i że przypadł mu taki a taki numer porządkowy do losowania Podarku.

Losowanie Podarków Szczęścia odbędzie się w taki sposób, jak w roku bieżącym, w pierwszych dniach stycznia 1913 r. — co zresztą dawni nasi Czytelnicy znają, a co dla przypomnienia i dla nowych powtórzymy w przyszłym numerze.

Oprócz noworocznego Podarku Szczęścia zaprowadzamy w roku 1913

Podarek Wielkanocny.

Do losowania Podarku Wielkanocnego będą mieli prawo ci wszyscy, którzy *Rolę* prenumerowali przez cały **1911 i 1912 rok,** (choćby nawet przesyłali prenumeratę w owym czasie kwartalnie), a którzy **na rok 1913** nadeślą **z góry całoroczną prenumeratę.**

Podarek Wielkanocny zatrzymamy i w latach następnych tak, że do tego Podarku w roku 1914 będą mieli prawo ci, którzy będą prenumeratorami przez rok 1912, 1913 i 1914 i t. d.

Wykaz wygranych podamy we właściwym czasie.

Zagadki do nagrody.

1. ARYTMOGRYF.

(Ułożył Józef Kobylański).

			1			
		6	2	3		
	9	10	3	11	5	
7	10	5	4	8	12	6
13	5	10	5	1	3	14
	15	5	6	12	7	
		3	7	3		
			8			

1. Litera. 2. Opłata. 3. Narzędzie gospodarskie. 4. Rzemieślnik. 5 Sprzęt domowy. 6. Ptak. 7. Narząd wzroku. 8. Litera.

Środkowe litery czytane z góry na dół dadzą nazwisko jednego z największych poetów polskich.

2. ZAGADKA.

(Ułożyła Zofia Pawłowska).

Z pięciu liter się składam,
Siła i groza władam,
Jednak tak nędznym bardzo
Wszyscy mną ludzie gardzą,
Ślepi! Wszak oni przecie
Są tem, czem ja na świecie,
I będą tem, rzecz znana ..
Czem jestem pro zę pana?

3. SZARADA.

(Ułożył Paweł Tarasek).

Pierwsze litera ważna w alfabecie,
Czwarte i piąte to miasto na świecie,
Drugie i piąte to miasta nazwisko,
Co lat istnieje trzy tysiące blisko.
Trzecie, gdy na pół przecięte przecinkiem,
Każ a połowa liter , przyimkiem.
Piąta, pół pierwsze jest miłe dla człeka;
Całość jest sławna od wieka do wieka.

4. SZARADA.

(Ułożył Paweł Tarasek).

Pierwsze litera ważna w alfabecie,
Samo drugie wspak to miasto na świecie,
Drugie i pierwsze to niejaka rzeka,
C łość jest nazwa narodowa człeka.

5. SZARADA.

(Ułożył Paweł Tarasek).

Pierwsze ideał każdego człowieka,
Samo drugie wspak w Europie rzeka;
Całość jest imię świętego człowieka.

6. ZAGADKA.

(Ułożył Józef Jarmuła).

Pierwsze i trzecie
Łatwo znajdziecie,
To rodzaj poezyi
Używanej w świecie,
Drugie i trzecie
To inaczej miasta;
Całość upiększa domy,
W niej kwiecie wyrasta.

7. ZAGADKA.

(Ułożył Józef Waszek).

Między dwie głoski o brzmieniu jednakiem,
Wstaw samogłoskę, a złożą pospołu
Tej rzeczy nazwę, co swoim to smakiem
Smaku potrawom dodaje u stołu.

* * *

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

* * *

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 26 października 1912 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z numeru 39 »Roli«:
1. Łamigłówka: **Błog. Jan Sankander.** 2. Szarada: **Palisander.** 3. Zagadka: **Okoń.** 4. Szarada: **Motyka.** 5. Zagadka: **Wyka.** 6. Zagadka: **Natan.** 7. Zagadka rachunkowa: **5 jaj kurzych 3 gęsich.**

* * *

W oznaczonym czasie dobre rozwiązania nadesłali PP.: Karol Ptyś w L., Józef Kołatek z S., Adela Bezokówna z K. M., Rudolf Kula z M. K., Franciszek Teper z M. K., Józef Kaizer z J.

Pierwszą nagrodę p. t. ***Z chłopskiej niwy*** wylosował p. **Józef Kaizer** z J., zaś drugą p. t. ***Orędzie*** p. **Karol Ptyś** z L.

Wydawca: Stanisław Kopernicki. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bazzara
Drukarnia „Czasu" w Krakowie pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.